ROK I. Nr. 35. 22 września 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Smacznego... (Fot. Universal)

Co słychać na świecie?

Cała niemal prasa europejska obszernie komentuje mowę Stresemanna w Genewie, w której wyraźniej niż kiedykolwiek dały się wyczuć tendencje Niemców do rewizji traktatów. Pierwszem z zagadnień, wysuniętych przez niemieckiego delegata była sprawa Zagłębia Saary „stojąca w bezpośrednim związku z ewakuacją Nadrenji". Związek, oczywista — logiczny. Czemuż nie mianoby żądać coraz dalszych ustępstw, skoro tyle już zrobiono w tej dziedzinie. Wyniki tej polityki są zwłaszcza żywo komentowane przez opinję francuską, która uważa, iż tempo staczania się — „la glissade" przechodzi już teraz wszelkie oczekiwania. Nawiązując do entuzjastycznego artykułu Kölnische Zeitung p. t. „od wersalskiej do prawdziwej Ligi Narodów", prasa francuska stwierdza, że Liga Narodów przy jej tendencjach, doprowadzić musi do rewizji traktatów, a tem samem do przekreślenia drogo okupionych wyników wojny światowej. W omówieniu pomysłu Paneuropy — Pertinax z Echo de Paris, analizując nastrój i metodę walki Brianda, stwierdza, iż koncepcja ta byłaby może rozumną... gdyby świat był przepełniony jagniętami, lub wilkami o wyłamanych kłach; w świecie dzisiejszym atoli wiele narodów uważa, że posiada mniej, niż na to pozwalają ich siły, i dlatego może to być niebezpieczne, a nawet może być przyczyną konfliktów". Najciekawszy komentarz do wystąpień Brianda znajdujemy w „Humanité", która uważa, iż przy obecnym systemie kapitalistycznym utopją jest Paneuropa, która skruszyłaby swe siły w walce z proletarjatem; Paneuropa — dodaje dziennik, byłaby pomostem dla walki z Sowietami. W każdym razie — i to niewątpliwie — o ile mowa Brianda była arcydziełem krasomówstwa, do którego sala odniosła się z najwyższym entuzjazmem, to Stresemann mówił z wysiłkiem, a wygląd jego sprawiał przykre wrażenie.

W związku z poruszeniem na gruncie genewskim spraw mniejszości narodowych, opinja publiczna zajęła się stosunkami panującemi w tej dziedzinie w Polsce. Zanotować należy pomiędzy innemi wielce interesującą serję artykułów Independance Belge, która stwierdza, iż zajmujemy zupełnie poprawne stanowisko, względem mniejszości niemieckiej, co tembardziej zasługuje na uznanie, iż mniejszość polska w Niemczech jest ustawicznie prześladowana przez „Junkrów", kler protestancki i urzędników. „Jeśli Stresemann jest istotnie zwolennikiem polityki pokojowej, to i sprawa mniejszości oraz sprawa procedury, przyjętej w Genewie, zostaną pomyślnie załatwione, co przyczyni się do znormalizowania stosunków pomiedzy obu państwami". Trafna ta konkluzja jest wynikiem nietylko analizy stosunków, ale i obserwacyj poczynionych na miejscu w Genewie. Okazuje się bowiem, iż Niemcy, korzystając ze sposobności Zjazdu, na którym dyrygentami są niemieccy reprezentanci (pomiedzy innymi występuje również osławiony Ulitz), rozwijają energiczną propagandę w formie literatury, specjalnych wydań prasowych i t. p., występując w obronie uciśnionych rodaków, oderwanych od macierzy. Zaznaczyć należy, iż Włosi, powołując się na niedawno odbyty w Warszawie Zjazd Polaków z zagranicy, stwierdzają, iż daliśmy innym narodom znakomity przykład organizacji, zwartości ducha i poczynań, tak cennej dla rodaków, którzy, mimo oddalenia od macierzy, nie zatracają z nią kontaktu.

„Prasa Sowiecka" ogłasza komunikat komisarjatu ludowego spraw zagranicznych, w którym komisarjat ten podaje do wiadomości, iż 9.IX. ambasadzie niemieckiej w Moskwie doręczono z prośbą o przekazanie rządom w Nankinie i Mukdenie notę, protestującą przeciwko stałym napadom i ostrzeliwaniom terytorjum sowieckiego przez oddziały chińskie i białogwardyjskie.

Nota wymienia daty i miejscowości, dotyczące tych napadów, oraz zawiera oświadczenie rządu Z. S. R. R., iż rząd ten składa na Chiny całą odpowiedzialność za prowokacyjne wystąpienia, które zmuszają armję czerwoną do udawania się do ostrych środków obrony granic Z. S. R. R.

Rząd sowiecki ponownie zwraca uwagę rządu chińskiego na skutki jego prowokacyjnej polityki i stwierdza, iż jedyną drogą, która prowadzi do uniknięcia nowych komplikacyj, jest natychmiastowa likwidacja formacyj białogwardyjskich w Chinach.

W sprawie tej miał się wypowiedzieć — jak oświadcza „Izwiestja" — chiński minister spraw zagranicznych Wan - Czżen-Tina, który wyjaśnił dziennikarzom japońskim, iż rokowania chińsko - sowieckie utknęły na martwym punkcie wskutek sowieckiego żądania o odwołaniu chińskiego prezesa zarządu kolei Wsch.-Chińskiej. Chiński minister posiada jednak nadzieję, iż porozumienie w sprawie wydania wspólnej deklaracji rządów Chin i Z. S. R. R. nastąpi po pertraktacjach, które prowadzone są w tej kwestji między posłem chińskim a ambasadorem Z. S. R. R. w Berlinie. Ogłoszenie tej wspólnej deklaracji umożliwi dalsze rokowania.



Kulminacyjnym punktem jesiennej sesji w Genewie była mowa Stresemanna, w której poruszył między innemi sprawę zwrotu zagłębia Saary i zmian w statucie Ligi któreby upoważniły zgromadzenie nie tylko do utrzymania status quo w Europie, ale i do szerszej inicjatywy



M. Chamberlain, b. minister spraw zagr. objął stanowisko prezesa stronnictwa konserwatystów.



Porucznik Stainforth stawał do konkursu z Orlebarem, który pobił rekord szybkości lotniczej (272 km. 592 na g.).



W tygodniu ubiegłym poświęcono kamień węgielny pod pałac Ligi Narodów w Genewie, którego plan jest dziełem architektów M. Nerrot i M. Flechender



Dr. Schieman jest obok osławionego Ulitza jednym z dyrygentów na kongresie mniejszości w Genewie



Z okręgu górnego Renu został wybrany na członka Senatu niemieckiego proboszcz Haegy



Po śniadaniu w Elysees Briand opowiada o swo ich sukcesach(?) w Genewie. A wiecznie uśmiechający się prezydent Doumergue (pierwszy z lewej strony) cieszy się. Bo cóż ma robić?...



Nowe zwycięstwo sportowe Polski! Oto kobieca osada polska pobiła w Warszawie jedną z najlepszych osad angielskich. Fot. J. Ryś.



Sezon uciech nad morzem ma się ku końcowi. Rozpoczyna się okres pracy. Rybacy zjeżdżają się z całej Francji do Dieppe, największego ośrodka handlu rybą na doroczne święto



Delegacja studentów politechniki warszawskiej składa wieniec na grobie Marszałka Focha w Paryżu



Pani Regulska na starcie wyścigu, należącego do programu raidu pań. W kilka chwil później dzielna automobilistka uległa przykremu wypadkowi rozbicia maszyny. (Fot. Sitkowski)



Babka obecnego Mikada japońskiego udaje się na nabożeństwo żałobne za swego małżonka, uważanego za stwórcę dzisiejszej potęgi mocarstwowej kraju Kwitnącej Wiśni

Dzielny rekordzista szybkości na hydroplanie, kpt. angielski Orlebar ląduje na brzeg po dokonaniu śmiałego swego wyczynu. (Fot. Wide World)



Zwyciężczyni zjazdu gwiaździstego do Poznania, p. Paprocka na starcie do raidu automobilowego pań, o którym podajemy szczegółowe sprawozdanie. (Fot. J. Ryś)



Po forsownym etapie miło zjeść posiłek i uwiecznić się dla Czytelników „7 Dni". Miłe zawodniczki raidu automobilowego pań na odpoczynku w Zakopanem. (Fot. Sitkowski)

W zwierzyńcu warszawskim

Warszawski Ogród Zoologiczny, będący jedną z najmłodszych instytucyj miejskich, zyskał sobie w krótkim czasie ogromną popularność. Wiedzą o tem ci wszyscy, co odwiedzali w ciągu lata ogród i mieli sposobność stwierdzenia, jak liczne rzesze spędzały tam niejedną godzinę — z przyjemnością i pożytkiem. Tem większą jest zasługa tych wszystkich, co przyczynili się do zorganizowania zwierzyńca, iż zdołali, postawić go na najzupełniej odpowiedniej stopie, mając do rozporządzenia nader nieznaczne środki, których nie ratowały nawet opłaty pobierane od publiczności.

Słoń cieszy się w Warszawie dobrem zdrowiem

Ogród warszawski można nazwać dziełem zamiłowania i zapału, i nawet nie tylko jednostek, ale najszerszych warstw publiczności. Ku podziwowi i zupełnemu osłupieniu fachowców zagranicznych ogród nasz powstał bez kapitału zakładowego, ani też z jakiejkolwiek fundacji.

Oto naprzykład w ostatnich czasach ogród otrzymał w darze bardzo rzadkie małpiątko „Poto", przywiezione z wyprawy myśliwskiej do Afryki przez Stanisława Zamoyskiego, oraz ostronosa od znanego podróżnika, kpt. Lepeckiego.

Każdy z nas, kto z taką niechęcią przewozi znajomym paczki, z Krakowa do Warszawy, niechaj pomyśli, ile troski i zajęcia musiał wykazać kpt. Lepecki, przewożąc trzęsącego się z zimna nienawykłego do górskich wycieczek ostronosa przez Andy. A ile czasu i zachodów wśród kłopotów podróży zabrało regularne zaopatrywanie małego „Poto" w mleko, banany i inne pokarmy.

To też zwykły napis przed klatką „dar z wyprawy..." przypomnieć nam winien, iż w danem zwierzęciu ukryty jest cały skarb wysiłku ludzkiego, poniesionego z jednym celem, wzbogacenia tak zaniedbanej dotychczas placówki, jaką w Polsce były do niedawna ogrody zoologiczne.

Młody daniel zaaklimatyzował się doskonale

Krótka lekcja polityki chińskiej

Hurra! Hurra!
Ta-ta-ta! Ta-ta-ta! Ta-ta-ta!

Depesze P. A. T.'a, Ruspress'a i różnych innych agencyj dźwięczą surmami wojennemi, zgiełkiem bitewnym, jękami rannych. Horyzont na Wschodzie mieni się tęczą krwawo-żółtych barw, tętni stopami tysięcy zbrojnych hufców, rozbrzmiewa rykiem armatnim i warkotem śmigieł samolotowych.

Ścierają się dwie potęgi. Europa i Azja. Jest to ich pierwszy debiut, niewielki, właściwie dziecinna próba sił, która może pociągnąć za sobą wielkie konsekwencje, albo zakończyć się wzajemną obawą przed właśnie wynikającemi konsekwencjami, do których nie są przygotowani. Powód, dla spokojnego obywatela Europy błahy i niezrozumiały: kilkaset kilometrów toru kolejowego, przebiegającego przez pustynne i dzikie obszary mandżurskie, z kilkoma zaledwie stacyjkami kolejowemi, na których stacja telegrafu jest dla podróżnych zgoła niesamowitą zjawą — niemal wytworem potęg piekielnych. Stanęły naprzeciw siebie dwie armje: sowiecka, kierowana mózgiem „proletarjackich" karjerowiczów z Kremla i chińska, której wodzowie przepojeni są narodowym patrjotyzmem, dzierżącym sztandar: „Chiny dla Chińczyków".

Dziwne to dla nas hasło, tem dziwniejsze, że uważaliśmy do tej pory Chińczyków za stwory, zbliżone raczej do przedstawicieli rodu ludzkiego, noszących długie, po golenie warkocze, żywiących się karaluchami i gniazdami jaskółczemi, ubierających się w jedwabne, kwieciste koszule, których psychologja jest tak odmienną od naszej, że była zawsze tematem niesamowitych a jakże pięknych w swej poezji nowel.

Aż wreszcie poezja ustąpiła rzeczywistości, Chiny otrząsnęły z siebie nimb tajemniczego egzotyzmu i wystąpiły na arenę międzynarodową ukazując zalęknionym europejczykom kościstą, żółtą twarz fanatycznego patrjotyzmu. Znaleźli się ludzie, którzy postanowili ocknąć z bezwładu uśpionego kolosa i nie pozwolić, by głodne i spragnione złota „białe djabły" krew z niego ssały.

Pierwszem ich dziełem było zwalenie pseudocesarstwa chińskiego, prymitywu władzy, bałwana, opartego na glinianych nogach kamaryli dworskiej i przekupnej administracji państwowej. Dokonano zamachu stanu, na którego czele stanął późniejszy prezydent odrodzonych Chin Sun-Yat-Sen. Twórca skrajno-narodowej partji chińskiej, skłaniającej się na lewo, założył podwaliny zdrowej myśli państwowo-twórczej, która dzisiaj rozpoczęła święcić swoje triumfy. Próżno zgrzytały zębami „zamorskie djabły", które widziały wymykające się im z rąk złotodajne koncesje, nic nie pomogły interwencje dyplomatyczne i straszaki w rodzaju „żółtego niebezpieczeństwa" a więc konieczności wysłania wojsk na pomoc „biednemu" cesarzowi. Interwencja mocarstw europejskich skończyła się na zwiększeniu garnizonów w koncesjach europejskich, gwoli obrony swych obywateli przeciw okrucieństwu „barbarzyńców".

A potem te niezrozumiałe dla przeciętnego europejczyka nazwy: Chiang-Tsin-Kiang, Wu-Te-Wei, Si-Chi-Sen, Jen-Hsi-Schan, Fong-Jun-Liang. Nazwy tak romantyczne w swem brzmieniu, a tak okrutne w interpretacji urzędowych agencyj telegraficznych. Wyobraźnia każdego z nas malowała niesamowite obrazy kaźni i tortur chińskich, zwierzęce sceny, których nerwy kulturalnego człowieka nie były w stanie wytrzymać. Nazwisko każdego wybitniejszego męża chińskiego, ociekało krwią niewinnych ofiar. Czyż naprawdę?

Pierwszy prezydent Chin, Sun-Yat-Sen, twórca dzisiejszego *kuomintangu*, zdetronizował cesarza i obdarł go z jego boskich przywilejów nie poto, by imię Chin zrównać z pojęciem kaźni, lecz poto by każdy Chińczyk poczuł się obywatelem własnego, silnego, ba... jednego z najsilniejszych państw świata. Wielki to był trud. Chiny, których obszar równy jest obszarowi Europy, trudne były do objęcia, tembardziej, że podzielone na 18 prowincyj, z których każda zamieszkała przez 10 do 50 miljonów ludności i równa największemu z państw europejskich była rządzona przez namiestników, nie liczących się z władzą centralną. W tem tkwi chaos tak zwanej rewolucji w Chinach. Każdy z namiestników, nadający sobie tytuł marszałka, a w najskromniejszym wypadku generała, robił politykę według własnego widzimisię i zwalczał każdą myśl centralizującą władzę w rękach jednego człowieka.

Sowiety, chcąc wykorzystać tę rozbieżność pojęć generałów chińskich, zaproponowały tworzącemu się rządowi w Nankinie swoją pomoc, przyczem przedstawiciel Moskwy, Borodin zobowiązał się do wydatnej pomocy w zwalczaniu wpływów angielskich. I tutaj perfidna polityka kremlińskich dyplomatów poniosła porażkę. Nankin zgodził się pozornie na pomoc moralną i materjalną Rosji, zgóry przewidując zdradę w stosunku do bolszewików. Przy pomocy złota sowieckiego, zwalcza Nankin opornych generałów, łączy wschodnie prowincje z południem i północą, wreszcie obwoławszy Chiang - Kai - Sheka prezydentem rozpoczyna walkę z komunizmem.


Pierwszy prezydent odrodzonych Chin Sun-Yat-Sen

Chiny dla Chińczyków. Oto nowe hasło, które rozbrzmiało po tak zwanej rewolucji. Chińczyk nie odróżnia przekonań politycznych, nie rozumie subtelności różnic pomiędzy jednem i drugim stronnictwem. W jego krwi tętni patrjotyzm azjaty, przywiązanego do swego kraju i tradycji, oraz nienawiść wrodzona do tego co „śmierdzi" białem.

Chiang - Kai - Shek, dzisiejszy prezydent Chin, uważany przez swych rodaków, za męża opatrznościowego, ujął swą ciężką i nieznającą oporu ręką w karby wszystkich przywódców stronnictw i generałów. Pracując w ścisłem porozumieniu z rządem, obsadził wszystkie prowincje przez ludzi godnych zaufania.

Wynikające od czasu do czasu zamieszki wewnętrzne, których źródłem jest niedostateczne jeszcze podporządkowanie się poszczególnych generałów władzy centralnej gromi z całą surowością. Sądy polowe otworzyły nigdy nie kończącą się sesję. Posady katów należą do najbardziej zyskownych i poszukiwanych. Wszelkie odruchy komunizmu, zaszczepionego przez Borodina, podczas krótkiego jego panowania w Nankinie są duszone w zarodku.

Opierają się jeszcze zachodnie prowincje, jak Tybet i część Mongolji, w której wpływy angielskie skutecznie jeszcze konkurują z emisarjuszami Chang - Kai - Sheka. Powoli i one zaczynają dążyć do macierzy, która choć surowo karze krnąbrnych synów, jednakże jej nowa metoda wychowawcza zaczyna sobie zdobywać coraz więcej zwolenników.

Dzisiaj na Dalekim Wschodzie słychać surmy bojowe. Czerwone i żółte hordy stanęły naprzeciw siebie. Powód: kilkaset kilometrów toru kolejowego i parę nędznych budyneczków stacyjnych. Czem się skończy to „nieporozumienie dyplomatyczne" trudno odgadnąć. Wiadomo jest tylko narazie jedno: żółty kolos ożył. Fantastyczne nazwy, które dawniej figurowały w książkach dla młodzieży, stały się ciałem. Na horyzoncie wschodnim chmury przybrały kształt drapieżnego smoka. A echo przynosi do nas złowieszczy odgłos: Ta-ta-ta! Ta-ta-ta! Ta-ta-ta!

Z. G.

Baczność, mówcy!



Charakterystyczny gest Mussoliniego, wygłaszającego przemówienie. (Atlantic).

Dr. Mayer z Berlina, przemawia na zebraniu organizacji sportowej. (Wide World).

Nie należy się dziwić, że podczas konferencyj lub długotrwałego przemówienia zdarzy się czasem, że jeden, czy nawet kilku uczestników może zasnąć. Uważne słuchanie bowiem stanowi wysiłek fizyczny, który taksamo nuży i wyczerpuje, jak każda inna praca. I jeśli naprzykład nie można się dziwić rzemieślnikowi, że podczas roboty odkłada narzędzia, ażeby dać swym muskułom choć kilka minut wypoczynku; to tak samo nie można brać za złe pracownikowi umysłowemu, że czysto fizyczne ich narządy pracy — oko i ucho, po długotrwałej natężonej pracy odmówią na kilka chwil posłuszeństwa.

Zacznijmy od wzroku. Wiadomo, iż oko spełnia przy słuchaniu ważne zadanie, i, chociaż naprzykład wiele osób przymyka oczy — podczas muzyki, aby móc lepiej się skupić, to odwrotnie przy słuchaniu mówcy, wrażenie optyczne okazuje się wielce pomocnem.

Stwierdzamy to w uczelniach, gdzie studenci usiłują wybrać miejsce, z którego można obserwować profesora; podobnie się dzieje na wszelkich posiedzeniach i konferencjach, na zebraniach publicznych, a nawet w świątyniach. Zauważyć to można również z powodu tak błahych przyczyn, jak mowy przy stole, kiedy goście, Siedzący plecami do wznoszącego konwencjonalny toast odwracają się, żeby go widzieć i obserwować.

Dzieje się to nie z ciekawości— boć czy nie wszystko jedno jak wygląda mówca — ale raczej mimowoli, gdyż słuchacz czuje instynktownie, iż może w ten sposób ułatwić sobie proces słuchania. Nie znaczy to wszakże, iżby zwykły śmiertelnik mógł,jak głuchoniemy, odczytywać wyrazy z poruszeń ust. Chodzi tu natomiast o wrażenie, jakie osoba sama mówcy wywiera na wypowiadane słowa, gdy mimika i gra fizjonomji dodaje osobliwe oznaczenie. Boć nie jest to zwykłym przypadkiem, że najwięksi mówcy świata, Demostenes i Cicero, pochodzili z południa, czyli należeli do narodów, które w przeciwieństwie do spokojnych synów północy, odznaczają się żywym temperamentem i lubią gestykulować.

Dużo jest ukrytej myśli w żartobliwych pytaniach: „Co to jest masywność?", lub „Co to jest korba?", na które każdy odpowiada mimowoli nie słowem, a gestem, dotykowo.

To co mówca zamierza wywołać swojemi ruchami, jest tylko zobrazowaniem jego myśli. Jest to może zabytek z czasów prymitywnej kultury, kiedy człowiek, objaśniając coś swoim towarzyszom, nie mógł bez odpowiednich gestów lub ruchów ciała przekazać myśli dźwiękowo i dlatego musiał je popierać mimiką. Obserwujemy zresztą i dziś to zjawisko wśród prymitywnych ludów lub też w środowisku stojącem na niskim poziomie intelektu.





Komisarz sowiecki wygłasza podburzające przemówienie przeciwko Chinom do mieszkańców Taszkentu. (Photo Plat).

Spróbujmy natomiast skasować słowa, a gesty wówczas wywołują wprost konieczne wrażenie. Obserwowałem kiedyś w stolarni sprzeczkę między majstrem a czeladnikiem. Ponieważ w warsztacie panował niezwykły hałas, nie mogłem nic absolutnie usłyszeć ze sprzeczki tych dwuch ludzi i wskutek tego ruchy ich wyglądały tak groteskowo, że musiałem się roześmiać.

Zupełnie tak samo ma się sprawa z mówcą, który, gestykulując podczas przemówienia, używa ruchów nie odpowiadających treści słów. Mówca, który, traktując o sprawach małoznaczących lub obojętnych, gestykuluje zawzięcie lub krzyczy w niebogłosy, działa na słuchaczów emfatycznie i traci ich sympatję. Cechą charakterystyczną mowców francuskich jest to, że rozporządzają całą gamą harmonijnych gestów, subtelnie podporządkowanych słowom, przykuwają uwagę każdego słuchacza.

Oko i ucho słuchacza stanowią idealną drogę harmonijnego przekazywania wrażeń do mózgu. O ile ucho na chwilę zawiedzie, czy to wskutek jakiejś przeszkody, jak naprzykład kaszel sąsiada, to w międzyczasie oko, przez zaobserwowanie odpowiedniego gestu, doskonale zapełnia lukę.

Jednym z najważniejszych warunków powodzenia każdego mówcy jest swoboda w wysławianiu się. Z chwilą gdy mówca zmuszony jest odczytywać swoją prelekcję lub musi trzymać się niewolniczo przepisanych punktów, zatraca stopniowo kontakt ze słuchaczami. Bardzo ważnem jest wreszcie, czy mówca przemawia w języku ojczystym.

Dlatego też Francuzi i Anglicy będą uprzywilejowani na międzynarodowych konferencjach, gdyż używają przeważnie własnego języka.

M. S.



Mac Donald, przemawiający na posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie. (Wide World)



W Sowietach, mówca wygłasza swą mowę do mikrofonu. Słuchacz posiada słuchawki, przy pomocy których nie straci jednego słowa .(Photo Plat).



Nr. 103. Irenka Malczewska (Lublin).



Nr. 104. Krysia Drabczykówna (Warszawa, fot. Malarski).



Nr. 105. „Kizia na polowaniu" (Zgierz).



Nr 106. Heniuś Bronowski (Warszawa, fot. Malarski).



Nr. 102. Wanda Jagiełło (Warszawa, fot. Malarski).

Wydawnictwo „7 DNI" oraz fabryka znako

WIELKI

„NAJPIĘKNIEJSZE

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO.
„7 DNI"
Kupon z Nr. 35-go.

WARUNKI

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni rodzice lub opiekunowie pod adresem Wydawnictwa „ 7DNI".

2) Format tych fotografij nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm.

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka, b) nazwisko i dokładny adres rodziców, c) godło w razie nie ujawnienia nazwiska dziecka.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć odpowiedni kupon, wycięty z „7 DNI" oraz b) etykietę (opakowanie papierowe) 100-gramowej tabliczki czekolady „SUCHARD" z jednego z następujących gatunków: „VELMA", „MILKA", MILKA AMERE", „MILKA NUT", „ST. BERNARD", „JUBILEUSZOWA", „CAFOLA", ORANGE", „VELNUT" lub „BITTRA", albo opakowanie 100-gramowej paczki kakao „SURARD".

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami, kuponami „7 DNI" i opakowaniami „SUCHARD" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o godz. 24-ej (o północy).

6) Czytelnicy „7 DNI" sami, na podstawie umieszczonych w „7 DNIACH" fotografij wyrónionych przez jury, wybiorą „Najpiękniejsze Dziecko Polskie", które otrzyma 1-ą nagrodę. Pozostałe nagrody rozdzielone zostaną stosownie do ilości głosów.

7) Jury kwalifikować będzie nadesłane fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI". Kontrolę nad plebiscytem Czytelników i rozdziałem nagród sprawować będzie notarjusz Mieczysław Różycki.

W następnym numerze podamy dziewiątą serję fotografji konkursowych.



Nr. 107. „Manika" (Regny).



Nr. 108. Marja Tallówna (Przemyśl).



Nr. 109. Helunia Bobowska (Poznań).



Nr. 110. „Kleofas" (Warszawa).



Nr. 111. Danula Prawdzic-Komacka (W-wa, fot. Malarski)



Nr. 112. „Iza" (Warszawa, fot. Malarski).

mitej czekolady „SUCHARD" ogłaszają
KONKURS
DZIECKO POLSKIE"

NAGRODY
DLA MATEK NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI:

1 *Nagroda:* *3 000 złotych,*
2 *Nagroda:* *1 000 złotych,*
3 *Nagroda:* *750 złotych,*
4 *Nagroda:* Maszyna do szycia „Singera",
6 *Nagroda:* Gramofon „Dancephon" z 5 płytami,
7 *Nagroda:* Mebelki dziecinne z „Komispolu",
8 *Nagroda:* Aparat fotograf. „Kodak",
9 *Nagroda:* Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu",
10 *Nagroda:* Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu".

UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacone w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.

DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI"

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników *„Siedmiu Dni"*, którzy wezmą udział w plebiscycie drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 *Nagroda:* *2 000 zł.,*
2 *Nagroda:* Kompletny radjoaparat „Natavis" wartości 1 500 złotych,
3, 4 i 5 Nagrody: po 500 złotych,
6, 7 i 8 Nagrody: po 300 złotych,
9 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Pathé Baby" z kasetą, filmem i statywem,
10 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Kodak",
11 Nagroda: 150 zł.,
12, 13, 14 i 15 Nagrody: po 100 złotych,
16—24-ej Nagr.: wieczne pióra „Platignum" z „Komispolu",
25, 26, 27 i 28 Nagrody: piłki skórzane do napompowywania z „Komispolu",

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku, paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobarwny balonik.



Nr. 113. Alina Górska (Warszawa, fot. Malarski).

BEZPŁATNE ZDJĘCIA KONKURSOWE.

Na mocy specjalnej umowy następujące pierwszorzędne Zakłady Fotograficzne dokonują bezpłatnych zdjęć dzieci naszych Czytelników, biorących udział w konkursie „7 Dni": Warszawa — Jan Malarski, Chmielna 10; Lwów — Fot. „Grottgera", Akademicka 3; Zakopane — Fot. Schabenbeck, Krupówki, Rabka — Fot. „Janina", Iwonicz i Rymanów — Zdrói — Fot. Grottger (ze Lwowa), „Janina" — Kraków.



Nr. 114. Magdalena Górecka, (W-wa, fot. Malarski)



Nr. 115. Haneczka Nowakowska (Radom)

MAX WIT.

Kobieta obcej krwi i obcego plemienia...

I.

Od chwili wyjazdu przemiłego kapitana Smitha Hamud, ostatni niezależny władca Delhi stracił głowę.

Kapitan był zbyt rozmowny i wylewny, zbyt wiele opowiadał o świecie, o swej córce jedynej, ukochanej, zbyt wiele pokazał przedziwnych fotografij dziewczęcia, by młodzieniec osamotniony mógł długo pozostać obojętny na urok dziewczyny złocistej, śmiejącej się ku niemu z 20 odbitek i z nieskończonych opowieści rozmiłowanego w niej ojca. Po wyjeździe kapitana, Hamud liczył dni, dzielące go od wyjazdu do Kalkuty, zgodził się przecież i przyrzekł Smithowi, że zezwoli na budowę toru kolejowego tuż pod bokiem Delhi, mimo szemrania całej rady przybocznej.

Czekał niecierpliwie.

Dzień za dniem upływały w męce. Uleciał spokój Hamuda z Delhi. Liczył godziny, wolno płynące, jak mętne fale Dżamy, jak krokodyle pełzające w mule. Męczyły go długie polityczne narady z najstarszymi — Imru i Lachari.

— Grzeszne myśli opanowały władcę, zwierzał się Kali błogosławionym starcom. — Oczarował go mleczny blask księżyca i wonne powiewy ogrodu, bo oto zrywa się w nocy z posłania, staje w otwartem oknie, a ciężkie westchnienie zrywa się z piersi szerokich. Jest chory, nie w smak mu koń ulubiony, karabin i tygrysy, choć codzień śmielsze i pewniejsze, dwie krowy z wieczora pojmały. — Radża Hamud z Delhi chory — kiwali głowami Imru i Lachari, znający wszystkie choroby świata prócz onej jedynej, starej, przemocnej, której na imię — miłość. Bowiem Hamud z Delhi kochał. O zgrozo! kochał śmiejącą się twarz dziewczyny z poza gęstych strun rakiety, kochał angielską córę, dziewczynę innej krwi i innego plemienia.

Przyszedł dzień oznaczony i radża, po raz pierwszy od śmierci ojca dosiadł rumaka, jadąc do dalekiej Kalkuty. Małą brał świtę: mędrzec Imru i sługa Kali ruszyli z nim w świat daleki. Lachari zastępował Pana.

II.

Wspaniałe zgotowano przyjęcie. Radża Hamud z Delhi w Kalkucie! Radża Hamud z Delhi! obwoływali obdarci sprzedawcy gazet wielkiego, znojnego miasta.

Hamud z Delhi na rewji wojskowej!!

Hamud z Delhi na przyjęciu u wicekróla!

Hamuld z Delhi stał się sensacją Kalkuty, pastwą gazet, fotografistów, ofiarą zachwytów niewieścich, nadskakiwania uparłych mężczyzn i urzędników. Nawet stary Imru dał się wzruszyć hołdem i czcią oddawaną władcy, śnił nowy złoty sen o potędze.

Źle się czuł radża w kołowrocie wielkiego miasta Męczyła go ciekawość ludzka natrętna, żądna sensacji. Krępowały męską duszę tysiące oczu zwróconych na smukłą postać, przybraną w długi indyjski kaftan, lśniący od srebra i złota, w którym zjawiał się podczas oficjalnych przyjęć.

Stopniowo uciszyły się festyny i fanfary, nasyconą gawiedź odeszła, jak fala odpływu, zostawiając Hamuda na pastwę lądowych rekinów polityki. Ucieszył go stary Shmith wiadomością o powrocie córki z Colombo, gdzie była u krewnych.

— Opowiadałem jej o Panu, słuchała niby baśni cudownej, marzy, by Pana poznać, radżo!

Hamud milczał zmieszany jak chłopiec, czuł chłód w palcach i dreszcz przejmujący. Z obrazem jedynej nie rozstawał się ani na chwilę, ona mu przysłaniała gorące błaski oczu, kuszące gorąco malowanych ust pożądliwych kobiet, których tyle poznał w ciągu przyjęć, festynów i balów. Były mu obce i dalekie jak rzędy białych lśniących domów angielskiej dzielnicy Kalkuty. Ze wszystkich kobiet świata pamiętał o jednej jedynej dziewczynie z fotografji, małej kochanej Betty.

— Radżo, uczyń mi zaszczyt odwiedzenia domu mego — prosił Smith — zapraszam w imieniu żony i Betty.

— Będę, kapitanie, — obiecywał. — Zobaczę ją wreszcie, zobaczę — łomotało pod czaszką.

III.

Zawody, urządzone z takim zapałem przez Betty wypadły wspaniale. Zebrała się śmietanka sportowej młodzieży Kalkuty, nie brakło studentów Indusów, z szacunkiem rozstępujących się przed Hamudem, ubranym pysznie, w tradycyjny kostjum maharadżów z Delhi, Kulminacyjną część popisów miał uświetnić własną osobą.

Gong zwołał zawodników, wyjście Hamuda pochwyciły oklaski i objektywy aparatów. Radża Hamud z Delhi na zawodach sportowych w Kalkucie! Przepasany szarfą przepisaną do zabaw rycerskich wydawał się niższy od Dżima Kanadyjczyka i węższy od Jurka, kuzyna Betty.

— A jednak wygląda jak Adonis — szeptały kobiety. Betty z otwartemi ustami piła każdy ruch Hamuda.

— Strzelanie z łuku — oznajmił zziajany, sędziujący kapitan Smith. — Zaczynamy! Zawodnicy na boisko!



Współczesna kobieta, entuzjastka najbrutalniejszych nawet sportów. (Fot. Universal)

Zabrzęczały cięciwy, wyrzucając długie, pierzaste strzały, skłębiły się zwoje mięśni na grzbietach północnych łuczników, zaostrzyły skupione profile. Strzały z suchym trzaskiem wpiły się w twarde drzewo tarczy, wypełniając szersze i węższe obwody, pozostawiając czarny środek oznaczony 10. Żadna nie tknęła tego serca celownika.

Jurek potężnie napiął łuk, skurczył się, zmalał i stężał, zmierzył. Grom okłasków zagłuszył zachwycony krzyk Betty, strzała tkwiła w 10. Jurek stał blady, ściskany i całowany przez przyjaciół. Betty skakała na jednej nodze.

— Jurek trafił, Jurek mistrz — Hurra!!

Zapał przycichł, gdy Hamud wyciągnął rękę no łuk, wziął z kołczana trzy ostre strzały i wbił obok siebie. Spokojnie, niby posąg kamienny wypuścił pocisk. Ryk uznania był odpowiedzią. Strzała rozczepiła strzałę Jurka, tkwiła w 10. Wypuścił dwie następne wbijając jedną w drugą.

— Niech żyje książe!!!

Otoczono go zewsząd. Jurek z rozpalonemi oczami miażdżył mu rękę w uścisku, był zachwycony, znalazł godnego współzawodnika. Betty stanęła przed nim, patrząc jak w słońce.

— Książe — bełkotała — książe, to widzę po raz pierwszy. Pan strzela jak Jurek, lepiej!

— Lepiej — mówił Jurek — trzy strzały jedna w drugiej, nie umieszczę, to ponad moje siły, skonałbym z napięcia i wzruszenia, poddaję się.

— Nawyk, panno Betty, — bronił się Hamud, od maleństwa strzelam z tej broni, kocham ją, znam, oto cała sztuka.

Betty kiwała głową z zachwytem, zgadzała się, radża zyskał plus, był czemś więcej od innych chłopaków, strzelał z łuku, a oni... i jak jeszcze strzelał, oho!

Hamud zapomniał o słońcu, widział przed sobą tylko oczy dziewczyny i słyszał jej głos ukochany, to wystarczało. Zasiedli na trybunie. Teraz znów Jurek będzie się bić z Dżimem.

— Książe się boksuje?

— Nie.

— Rozumie się, to nie dla książąt, szkoda jednak, spróbowałby z Jurkiem, to najlepszy bokser z ich koła, teraz sprawi Dżimowi lanie.

Podświadomie oczy jej się zapalały, ściskała Hamuda za rękę, roskosz przelewała się w żyły z tej małej silnej ręki, powstawał weń dziwny żar, palił mu usta i suszył język. Hamud drżał. Betty była zdenerwowana, kręciła się na miejscu, podnosiła, wyglądała.

— Kiedy już zaczną, kiedy! Oszaleję z niecierpliwości — wołała szybko.

Dzwonek. Przeciwnicy stanęli na improwizowanym ringu. Betty przewieszona przez poręcz trybuny, nie puszczając ręki Hamuda, obejmowała ich ostrem rysiem spojrzeniem. Gwar rozmów przycichł. Gotowe. Hamud czuł tylko nerwowe palce, ściskające mu dłoń, tonął w roskoszy. Trzy suche uderzenia rękawic. Palce Betty zaciśnięte kurczowo wpiły się w jakimś spazmie w dłoń Hamuda. Zawisła nad ringiem, gdzie dwa wspaniałe ciała splotły się w błyskawicznych ruchach rąk i nóg. Haki żółtych płaskich rękawic, wbijane długiemi prostemi uderzeniami w niechronione miejsca padały z błyskawiczną, wyrafinowaną szybkością. Jurek bronił się przed długiemi, prostemi ciosami wysokiego Dżima. Z głową ukrytą poza migającą zasłoną rękawic, zgięty, wyprostowywał się nieoczekiwanie i umieszczał niezawodny cios pod żebra atakującego uparcie przeciwnika. Betty dyszała ciężko i szarpała Hamuda.

— Patrz Pan, patrz Pan, wspaniale, dostał, zatoczył się! Chaha!

Obco zabrzmiał głos dziewczyny, Hamud zadrżał, podniósł przymknięte powieki. W tej chwili Jurek gwałtownym wyskokiem zadał straszliwe uderzenie Dżimowi, Olbrzym zachwiał się bezwładnie. Wstręt i niesmak ogarnęły Hamuda.

— Biją się jak zwierzęta! — odwrócił oczy od ringu.

Betty blada z gorejącemi oczami, łapiąca ciężko oddech, była gdzieś daleko, krótkie włosy nad czołem zlepiły się dziwacznie, twarz miała białą i straszną, walka i żądza krwi była w całym jej wyrazie.

— Panno Betty! — zawołał Hamud — Panno Betty!

Nie odwróciła głowy.

Dżim odzyskawszy oddech, ruszył na Jurka. Szeroki chłopak podwójnym uderzeniem w usta i nos odepchnął przeciwnika. Grube krople krwi spłynęły z kącików rozbitych warg Dżima. Krwiożerczy, samczy uśmiech oświecił twarz Betty.

— Bij Jurku! Bij!! — krzyczała. — Bij, nie żałuj! Bij! Knock-autem!!

Jurek spojrzał w stronę dziewczyny i runął na słaniającego się, skrwawionego Dżima, potwornem suchem uderzeniem w podbródek, zwalił z nóg oblanego krwią olbrzyma. Padł jak kłoda, bezwładnie, odrzucony na wznak. Cisza. Jeden.. dwa... trzy... dziesięć .Dżim nie wstawał. Zebrani oszaleli, runęli ku Jurkowi, wyniesiono go do góry. Ludzie wyli jak, zwierzęta. Betty była dziką, pierwotną kobietą. Oprzytomniała. Odwróciła się do Hamuda:

— Widział Pan? Krew, krew, to go zbił, czy nie mówiłam?! Szkoda, że tak prędko upadł, chyba ma wybite zęby i skręconą szczękę.. O Jurek ma straszną pięść, straszną!!

Hamud patrzał nieruchomo, nie pojmując widzianego:

— Ach! więc tak wygląda ona, złotowłosa gołębica, oblubienica rajska, pawica przeczysta, złotowłosa kobieta...

Przed Hamudem wstawała wysowa czarna ściana obcości i bólu. To była inna krew, kobieta innego plemienia, czyniąca śpiew tryumfalny pięści. Wybiegła w podskokach powinszować Jurkowi.

Rozbity Dżim leżał wciąż na ringu, opatrywał go doktór. Hamud podniósł się i ruszył z ogrodu. To jest dziewczyna z obcego plemienia i obcej krwi, łaknąca krwi i pięści.

Hamud z Delhi wrócił do swego pałacu. Zaczarowanie przeszło, Pan zdrowy, wieścił radosny Kali.

Chodzi Hamud po wielkich, pustych komnatach, samotnych i cichych, w których nigdy nie zaśmiał się głos kobiecy, bowiem nie pojął Hamud nigdy oblubienicy, kochanki ni żony.

Żył i umarł samotny w cichej muzyce cyprysów.

KORNEL MAKUSZYŃSKI.

„On nie wraca, może zginął...”

Jak licznym moim wierzycielom wiadomo, byłem w lecie zagranicą, chcąc się przekonać, czy to prawda, że wymyślono już tam elektryczne aparaty do dojenia krów: włącza się krowi ogon w kontakt, a mleko samo ciurkiem z krowy płynie i odrazu miesza się z wodą. Ponieważ długo mnie nie było, wierzyciele moi, związani już w towarzystwo ze statutem, wyglądali niecierpliwie z niepokojem szepcąc tęsknie: „On nie wraca, może zginął?” Tak się jednak nieszczęśliwie zdarzyło, że powróciłem, pełny mądrości, jak rabin z Radomia i pełny wina, jak beczka. Mógłbym przez rok długi opowiadać, co widziałem na świecie, gdybym ja miał czas, a wydawca pieniądze, zdaje się jednak, że dopiero na drugim świecie ja będę miał czas w niebie, a wydawca pieniądze w piekle. Rozpromieniły się jednak na mój widok wszystkie twarze, a komisarz podatkowy mojego okręgu dostał z radości konwulsji, wołając: „Teraz go mam! był zagranicą!” Owszem, byłem. A straszliwy ten człowiek nic nie zarobił, bo tylko królowie w czynnej służbie i ja, jeździmy bez pieniędzy; bilet kolejowy miałem zawsze zadarmo, bo Polska chciała mnie czemprędzej wywieźć, Czechosłowacja chciała mnie co prędzej przewieźć tranzytem, a boska Italja chciała mnie zapewne czemprędzej się pozbyć pod wybornym pozorem, że im psuje moją gębą przejrzysty krajobraz: jadłem tam niewiele i chociaż piłem tam wiele, nie jest to żadna gratka dla urzędu podatkowego, gdyż wino jest tam tańsze niż u nas woda, nawet z tyfusem. Otóż to! Poczyniłem tam wprawdzie wielkie zakupy, bo kupiłem aż trzy kołnierzyki, ale nie przydały mi się na nic, bo nie mam do czego przypiąć, nie mając koszuli. Przyznaję się jednak do wielkiego szmuglu: oto udało mi się bez opłaty na granicy przewieźć w oczach mnóstwo słonecznego blasku, w sercu całe morze radości, a na ustach uśmiech, kupiony za złote słowo we Florencji. Wiem, że jest to zbrodnia i artykuły w Polsce zakazane, zanim jednak odpowiednia władza zdoła mi to skonfiskować, już nic z tego mieć nie będę, bo rozdaję te cudowne upominki na prawo i lewo.

Kiedy człowiek przelotny do ojczystych powraca pieleszy, patrzy ciekawie dokoła, jakgdyby wzrokiem nowonarodzonym, myśląc, że przez czas jego nieobecności wszystko się odmieniło, wypiękniało i wyszlachetniało. Kiedy powróciłem do Warszawy, rozejrzałem się zachłannem spojrzeniem, mając na uściech hymn radości. Przypomniałem sobie, co zostawiłem, wyjeżdżając i zacząłem oglądać to, co zastałem, aby ze ścisłego porównania wycisnąć okrzyk zachwytu. Minął kawał czasu, musiało się coś odmienić. I w istocie! Kiedy wyjeżdżałem, w ostatnim numerze gazety, którą czytałem, na pierwszej stronie czerwoną farbą stało napisane: „Pijany Ignac Bomba obciął kochance brzytwą lewą pierś i odgryzł prawe ucho policjantowi. Czy to ładnie Panie Bomba?” — Kiedy powróciłem, — na pierwszej stronie gazety zapłakał głucho okrzyk: „Mańka Magiel odgryzła swemu kochankowi nos. Płocha dziewczyno, czy nos kochanka jest to makagiga?”

W lot poznałem z porównania, że podczas mojej nieobecności, stosunki towarzyskie nieznacznej tylko uległy zmianie i krążą stale w dziedzinie anatomji doświadczalnej, co powoduje w tej materji niejaką jednostajność i brak pomysłowości; nie jest to jednak wina dzielnych ludzi, tylko nieszczęsnej okoliczności, że na ludzkiem indywiduum jest zbyt mało wypukłości, nadających się do łapczywego odgryzienia.

Na innej płaszczyźnie też nieznaczne tylko dostrzegłem odchylenia. Kiedy wyjeżdżałem, pewnikiem było niezbitym, że wszystkiemu zawsze i wszędzie winien jest Magistrat: że małpy się spaliły, że autobusy są pełne, że się dom zawalił, że się taksówka wywróciła, że jest tyfus, że piorun strzelił w elektryczne przewody. Tysiąc wybornych argumentów zawsze jest pod ręką na udowodnienie, że Magistrat jest instytucją łajdacką, a tak zwani „ojcowie miasta” zjadają własne dzieci, jak wędlinę pod pretekstem, „aby im zachować ojca”. Nie wiem jak z tem stały sprawy podczas wakacji, po wakacjach jednak, Magistrat okazał się zbrodniarzem niepoprawnym, bo do ohydnych jego grzechów przedwakacyjnych, dorzucono i ten, że wskutek niedbalstwa Magistratu, jedna stara, łajdacka koza na ulicy Zwarjowanej zjadła słomiany kapelusz czcigodnej Domiceli Katarynka. A cóż wtedy czynił pan prezydent miasta? Pan prezydent miasta, zamiast pilnować kozy i przemówić jej do rozumu, bujał gdzieś we Francji i łapał w morzu za ogon syreny, myśląc, że któraś z nich jest warszawska.

Przed moim wyjazdem — jeśli już o kozim rodzie jest mowa, — kozłem ofiarnym wszystkich złych humorów był Teatr Narodowy, moloch i Baal, co zjada pieniądze, trawi złoto, a wypuszcza z siebie słomę. Tak straszliwie postponowano ten teatr nieszczęsny; czarna jego godzina; jeśli wystawi coś źle, wybijają mu fotele, jak zęby, wystawi coś dobrze, też to należy uczynić, aby się nie wzbił w dumę i przez ciągłość cierpienia dochodził do doskonałości. Podczas wakacji, kiedy inne Hamany wyjechały, bito tego Hamana, co nie może wyjechać. Po wakacjach mało się zmieniło i zdaje się nie należy oczekiwać zmian zasadniczych; teatr ten urodził się już za Hamana i gdyby nawet wystawił sto arcydzieł, to mu się jednak powie, że powinien to zrobić lepiej.

Niesłychaną natomiast zmianę zastałem w świecie operowym; odkąd pamięć moja sięga, zawsze Młynarski temu był winien, że tenor ma chrypkę, a chórzystka zeza od ciągłego patrzenia w stronę kapelmistrza; okropny to był człowiek! Gdyby zebrać wszystkie o nim recenzje i wzmianki, możnaby z tego zrobić fabrykę szpilek i wytwórnię arszeniku. To też zacny ten człowiek wyrwał sobie włosy z głowy, mętny chodził i biadał. Ha! ha! „Tuś mi amorku, wnuczku Lucypera?” Założono mu nelsona i wreszcie, — o, radości! — położono na obie łopatki. Poddał się tedy kawaler z srebrną różą i ustąpił z opery, uważając, że łacniej jest chodzić w Ameryce głową na dół, niż w Polsce na nogach. A wtedy, o, dziwo — wszyscy w płacz. Gadali do niego mowy, kwiatami go zasypali. Mówili o nim: „Ktoś mi znany, ktoś kochany, ktoś, o którym jeszcze wczora w śnie marzyłem!” Tedy ten człowiak w głowę się stuknął, sycząc: „Czyli ja to oszalałem, czyli oni?” He! he! Taki stary, taki łysy, a nie widział, że w dobrym naszym kraju, trzeba odejść, aby cię żałowali i trzeba umrzeć, aby ci pozwolili żyć.

Bardzo mnie jednak wzruszyły te łzy; widać, że serce mamy dobre, tylko trochę kamieni w żółci. Właściwie tedy i w tej operowej dziedzinie nic się nie zmieniło. Zanim się zjawił nowy dyrektor, wszyscy uderzyli w bęben radosny: Ho! ho! będzie nareszcie porządek! — a kiedy się zjawił, już się pokazały notateczki że w operze może być strajk, bo czego on tu chce i czego odrazu krzyczy?

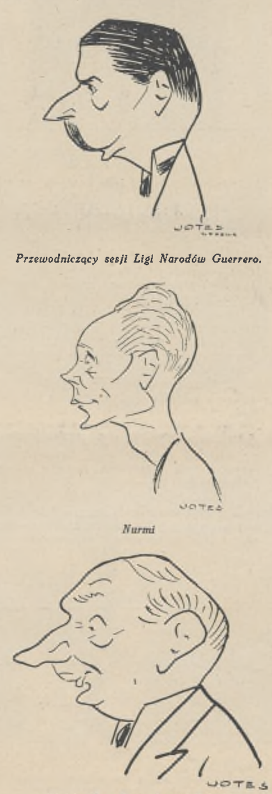
W księgarstwie zmian większych też nie można zauważyć: przed wakacjami wydawano Wallace'a, podczas wakacji wydawano Wallace'a, po wakacjach wydają Wallace'a. Wszystko w tej dziedzinie w największym jest porządku. Jedynie w sprawach finansowych zmieniło się cokolwiek, gdyż przed moim wyjazdem wydawcy obiecywali, że zapłacą, po moim przyjeździe obiecują, że nie zapłacą. Upraszcza to stosunek autora do wydawcy w myśl maksymy, że clara pacta claros faciunt amicos i atmosferę wzajemną czyni pogodną i pełną ulności. Zauważyłem, że chmurni dotąd autorowie mają dziś w spojrzeniu łagodny i pełen współczucia uśmiech, co się narodził z wielkiej radości, że i pan wydawca też chodzi bez portek; wspólnie dźwigać nieszczęście jest zawsze łatwiej, niż samemu; na tej kalkulacji oparta jest połowa małżeństw.

Dużo jednak zmieniło się w krajobrazie miasta stołecznego Warszawy; przed wakacjami Aleje Jerozolimskie wyglądały, jak pole bitwy na Chemin des Dames, teraz wyglądają, jak pole bitwy pod Ypres. Podejrzewam, że tunelu w Alejach sprytni ludzie umyślnie nie kończą, ciągnąc z tego niepospolite zyski, co niedziela bowiem najmniej dwudziestu ciekawych zwiedza tunel i zaczarowani afiszem, na którym dziarski ułan, — (czemu ułan? —) nawołuje: „Zwiedzajcie tunel!” — płacąc po trzydzieści groszy. Warjat jedynie, takie z tego przedsiębiorstwa mając dochody, kończył by je prędko. Mojemu prawnukowi zapiszę cały majątek, pod warunkiem, że za sto siedem lat zwiedzi w niedzielę tunel, ten sam tunel. Pozatem jedynie warszawskie konie dorożkarskie nieznacznym uległy przez te lato przeobrażeniom; na dworzec w czerwcu wiózł mnie koń, który ciągnął dorożkę, we wrześniu natomiast dorożka już ciągnęła tego samego konia, a przynajmniej utrzymywała go w stanie jakiej takiej równowagi; pojąłem wreszcie zaraz istnienie dyszla przy dorożce: bez niego koń by się wywrócił. Patrzę na te koniki rzewnem spojrzeniem, z uczuciem serdecznem, którego nie zdołała we mnie zabić maszynowa, benzyną opita, zagranica. Koniki wy moje! Ileż w was uroku, ile poezji! Wprawdzie taki koń mnie już nie uciągnie, ale lekki i powiewny Winawer może jeszcze mieć przyjemność, i gnać w cwał.

Możnaby tak przez siedem dni krążyć po Warszawie czarodziejskie i patrzeć i porównywać i radować się, że tyle w niej zmian, tyle w niej nowości. Policjant na rogu Pięknej zapuścił wąsy, o, jakże mu z tem ładnie! Stróż na Mokotowskiej w dalszym ciągu bije żonę i wykrzykuje sarmackie, stare, wyrazy, że aż się dusza raduje. W radio gadają wciąż jeszcze o sztucznych nawozach; w gazetach mówią do tego z naprzeciwka wesoło i zabawnie, wróżąc mu, że w jesieni jednak będzie w kryminale, a tamten mu odpowiada strasznie śmiesznie, że ze złodziejami nie gada. Tak, tak! Pięknie jest na dalekim świecie, ale w domu jest najlepiej; zwarjować tam można z nudów, a tu codzień jest zabawa; dlatego tak prędko powróciłem, stęskniony, a kiedy w nocy udało mi się przejść przez Nowy Świat i wrócić z portfelem i całemi żebrami, za nic nie oddałbym dreszczu radości.

Nic się nie zmieniło, ach, jak to dobrze! Polak jest w głębi duszy konserwatystą i nie lubi zmian. Byłbym ucieszony, gdybym po powrocie zastał w Warszawie metro i jakieś inne bzdury. Ale, ale! jakoś nie widzę żebraków. Czyżby byli, na wywczasach w Ostendzie? Możeby tak skorzystać z wolnych miejsc i stanąć z dzwoneczkiem? Poddaję tę myśl pod rozwagę wybitnej inteligencji, uczonych, emerytów, wynalazców i tych wszystkich, których los pokarał tem, że im dał tę inteligencję, czyli głupstwo, najmniej na tym świecie potrzebne. „Myślałem, że to kasza, a to dyjamenty!” — rzekł z rozpaczą głodny Arab w pustyni. Do djabła te dyjamenty inteligencji... Pod tym względem też nic się nie zmieniło. Na zachodzie też bez zmian...

Z teki karykaturzysty



Przewodniczący sesji Ligi Narodów Guerrero.

Nurmi

Minister Spr. Zagr. August Zaleski.

Raid pań



Nagroda pisma „Teatr i życie wytworne" za najlepszy wynik w górskiej próbie szybkości zdobyła pani Koźmianowa na Austro - Daimlerze. Piękna rzeźba z bronzu została wykonana przez znakomitego złotnika p. W. Wabia - Wabińskiego.

Raidy pań, organizowane przez Automobilklub Polski szybko pozyskały sobie popularność i wytworzyły tu z swoją tradycję.

Przed trzema laty Automobilklub na skutek nalegań nadobnych automobilistek zorganizował jednodniowy raid na trasie Warszawa — Łomża — Warszawa łącznej przestrzeni około 300 kilometrów.

Udział pań był liczny, emocji bardzo wiele, lecz w rezultacie panie się oburzyły:

— Przecież to karygodne lekceważenie płci pięknej. Jak jest raid panów, to i trasę wybierają trudną, resory łamią, samochody rozbijają i mordują się po najgorszych szosach przez cały tydzień. A nam dają jakiś spacer po równej szosie do Łomży. Przecież to skandal!...

Władze klubowe uwzględniły to święte oburzenie i w roku 1927 zorganizowały raid dwudniowy — z Warszawy do Poznania i z powrotem. I to jednak nie zadowoliło nasze automobilistki.

— Cóż to za raid, — oburzały się znowu panie. Ograniczyli nam szybkość do niemożliwości, dali trasę płaską i łatwą, a nawet na próbie szybkości nie można uzyskać punktów dodatnich.

Władze klubowe z olimpijskim spokojem rozważały i te reklamacje. W roku 1928 panie otrzymały do przebycia trójkąt Warszawa — Lwów — Kraków — Warszawa ze wszelkiemi „udogodnieniami" w postaci lichych szos, górskich terenów i t. p.

Głosy oburzenia uciszyły się, lecz ambicje sportowe pań bynajmniej nie zmniejszyły się. W roku bieżącym uzyskały benzynowe amazonki trasę, która nie każdemu mężczyźnie wydałaby się łatwą: Warszawa — Zakopane — Wisła — Warszawa, łącznej długości 1150 kilometrów, w tem kilkaset klm. szos górskich. Pozatem próby szybkości płaskiej i górskiej.

Słowem — zupełnie, jak u panów.

Tegoroczny raid zgromadził też na starcie z małemi wyjątkami (niestety!) całą elitę naszego damskiego automobilizmu. Pierwsza startowała na okazałym sportowym Delage'u p. Maryańska. Za nią pani Koźmianowa na komfortowym Austro - Daimlerze. Panna Wera Zahradnik, jedyna kobieta, która tego roku stanęła do Raidu Międzynarodowego, na Raid Pań wyjechała na silnej sześciocylindrowej Skodzie. Panie Podhorodeńska i Gawłowa stanęły do raidu na czterocylindrowych Citroenach, pani Gebethnerowa — na eleganckim Steyerze.

Filigranowa pani Regulska stanęła do zawodów na swoim minjaturowym, lecz szybkim Fiacie. Korowód zamykały dwie „Zetki", prowadzone przez ambitne kierowczynie pp. de Lavaux i Paprocką. Jeżeli dodamy do tego kierownictwo raidu w osobach popularnych i cenionych automobilistów — komandora Józefa Grabowskiego i wice-komandorów Pawła Bischana i Jana Maryańskiego, — będziemy mieli prawie pełny obraz orszaku automobilowego, który w sobotę rano wyruszył z Warszawy, poto by powrócić w poniedziałek wieczór ze sporym zapasem punktów karnych i dodatnich, z szeregiem zasłużonych sukcesów i niezasłużonych niepowodzeń.

Piszę „prawie", bo nie wolno pominąć milczeniem zespołu doskonałych mechaników, którzy wydatnie ułatwiali pracę kierowczyniom, ponosząc trud pilnowania maszyny a nieraz i stremowanych kierowczyń.

Podkreślić muszę, że w większości wypadków punkty karne zawodniczki otrzymały nie z własnej winy, lecz z powodów od nich niezależnych. Nie można przecież kierowczynię czynić odpowiedzialną, za to, że koła zapasowe umocowane z tyłu samochodu urywają się w drodze. Odpowiedzialność tutaj dzielą w równej mierze słabe śruby z wybojami na drodze. A punkty karne obciążają hipotekę kierowczyń. To samo rzec można o wypadkach złamania resorów. Regulamin obciążył punktami karnemi p. Paprocką, a prywatnie władze raidowe podziwiały sprawność, z jaką ta dzielna niewiasta potrafiła zmienić na poczekaniu pęknięty resor.

Fakty przytoczone wyżej pozwalają mi twierdzić, że raidy pań wyszły już daleko poza granice rozrywki towarzyskiej i zasługują na baczną uwagę sfer interesujących się auto mobilizmem. W szczególności zaś powinny o tem pamiętać nasze firmy automobilowe, albowiem panie uprawiające sport samochodowy stanowią najbardziej wpływowy element propagandowy. Nie znam i nie słyszałem nigdy o pani, która raz zaznawszy roskoszy sportu samochodowego, zechciała z nich zrezygnować.

Ostateczny wynik raidu, jakkolwiek przyniósł pewne niespodzianki, jest wysoce zaszczytny dla wszystkich uczestniczek. Żadna z kierowczyń nie ulękła się piętrzących się trudności, nie uległa depresji.

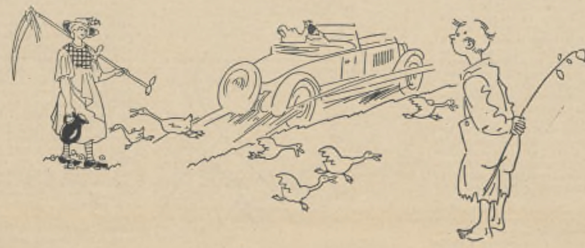
Nie dokończyła raidu, jedynie pani Halina Regulska. Doskonała ta kierowczyni, pragnąc osiągnąć najlepszy wynik na próbie górskiej wyciągnęła z maszyny więcej... niż było można

Niezwykłą ambicję sportową wykazała pani de Lavaux, która po defekcie silnika tuż po starcie siadła na inną maszynę i wykonała cały raid poza konkursem.

Panie Gebethnerowa i Zahradnik już na pierwszym etapie pourywały sobie koła zapasowe. Pani Gebethnerowa zdobyła się na sportowy gest — przebyła dwa ostatnie etapy bez kół zapasowych.

Jeżeli się zważy ponadto, że sympatycznej zawodniczce dokuczał pech pod postacią wadliwego dopływu benzyny — wynik końcowy bez punktów ujemnych uważać można za doskonały.

Panna Paprocka, ochrzczona na raidzie „Ripperem w spódnicy" dzięki kawalerskiej jeździe nałapała sporo punktów karnych, jest wszakże uważana za wschodzącą gwiazdę automobilizmu.



Laureatki raidu: pierwsza Koźmianowa na Austro - Daimlerze i druga p. Maryańska na Delage'u imponowały wszystkim swoim spokojem i brawurą na próbach szybkości.

Dalsze miejsca w kwalifikacji nie przyniosły z sobą nagród. Mimo to pp. Gebethnerową i Zahradnik, Podkorodeńską, Gawłową i Paprocką wieńczy respekt wszystkich automobilistów.

Ign. Kołłupajło.

BRUNO WINAWER.

Miasto i wystawy



Pawilon komunikacji na Międzynarodowym Kongresie Reklamy, który się odbył niedawno w Berlinie. (fot. Atlantic).

W Berlinie trafiłem aż na dwie wystawy: na *radjowej* ryczą głośniki, z jakiegoś samochodu — w którym nikogo niema — grzmi najnowszy „superszlager" amerykański („Sonny boy"). Na *wystawie reklamy* jest ciszej, chociaż plakaty krzyczą wniebogłosy we wszystkich kolorach: Czy widziałeś Ren? Czy znasz stare miasto bawarskie? Piwo! Philips! AEG! Abdulla! Tempo! Ullstein! Riviera! P. L. M!

Przed kilku laty podziwiałem zresztą słynną „sztukę dekoracyjną" w Paryżu i też — przyznaję — nic nie pamiętam. Jakaś kolejka karkołomna, ognie pod mostem na Sekwanie, wieża Eiffla z elektrycznym napisem C-i-t-r-o-ë-n, kilka pryskających iskrami samochodów w „wesołem mieście". Rzeźba Henryka Kuny. Żywy góral z ciupagą. Pawilon czeski. Restauracja... Koniec!

Wystawy były ongi, przed pół wiekiem najmilszą rozrywką naszych ojców, były erą w ich życiu, momentem przełomowym w historji, znacznie ważniejszym od ucieczki Mahometa z Mekki do Medyny. Technika w owych czasach czekała — jak zdenerwowany sztubak na maturę — na dzień wielkiego święta, na popis i wtedy dopiero wyrzucała wszystko naraz, pokazywała olśnionym widzom, co potrafi: nowa kolejka (elektryczna!), najwyższa wieża (cała z żelaza!), lampa bez knota (łukowa!), automat! gramofon! telefon! wóz bez konia!

Dziś... W wielkich miastach powstały domy handlowe, bazary, obwożą łaskawych klientów windami najnowszego systemu, wciągają ich ruchomemi schodami na najwyższe piętra, grają im skoczne melodje na przyrządach udoskonalonych. W dziale *A* można nabyć telewizor i maszynę, która sama oblicza kasę i zamienia błyskawicznie franki na dolary, w dziale *B* sprzedają samolot bez motoru, aparat, który pochłania dym w palarni albo obniża latem temperaturę w pokoju. W dziale *C* demonstrują najnowszy krótkofalowy odbiornik radjowy: wetknąć kontakt, przekręcić korbkę — Londyn, włączyć antenę, przesunąć, obrócić — Ameryka! Australja! Japonja! Słychać sygnały Byrda z pod bieguna południowego i depesze, nadawane przez „zeppelina" podczas podróży naokoło świata.

Z każdej witryny sklepowej na ulicy tryskają dźwięki i kolory, z każdej kamienicy narożnej biją wieczorem światła rur neonowych, każdy przystanek kolei podziemnej jest właściwie arcydziełem techniki współczesnej. Służąca w pensjonacie doskonale nastawia telefon automatyczny i jednym gestem rozwiązuje odrazu zagadnienia, nad którem się głowili napróżno przez długie lata Werner Siemens i Thomas Alva Edison. W zwykłem kinie obejrzeć można za trzy złote film dźwiękowy. Amerykanin Jolson rozmawia z małym synkiem, śpiewa dziecku piosenki murzyńskie, chłopak woła na niego „daddy" piskliwym, miłym głosikiem. I w tym czasie, kiedy my ich tu oglądamy na ekranie i słyszymy, obaj — ojciec z synkiem — spacerują sobie napewno po słonecznych ulicach w dalekiem Hollywood — kilkanaście tysięcy kilometrów na zachód od Berlina...



Fragment wystawy radjotechnicznej w Berlinie. (Wide World).

Sprytny automat na dworcu wyrzuca ostatnie wydanie gazety za 10 fenigów, inny mechaniczny pracownik księgarski inkasuje dwa krążki metalowe i wydaje wzamian najnowszy tomik bibljoteki groszowej...

Nawet solidny stateczny teatr zmienił się dziś, nabrał wigoru i dramat nowoczesny w opracowaniu Piscatora wygląda, jak rewja ciekawych pomysłów technicznych. Aktorzy wjeżdżają na scenę na drewnianych pomostach, konstrukcje żelazne grają rolę wybitną, niewidzialny aparat filmowy rzuca obrazy ruchome na ekrany muślinowe, latarnia magiczna bawi publiczność napisami... Reflektory, zapadnie, koła zębate...

Co w tych warunkach najlepiej zorganizowana „wystawa" dać może widzowi? Jak ma go chwycić za połę i jak przykuć uwagę?

Firmy radjowe rozłożyły w swoich straganach i stoiskach na placu pod wieżą żelazną (Funkturm) aparaty najnowszej konstrukcji, laboratorja naukowa prezentują w przyciemnionej hali małe, żywe, niebieskie obrazy filmowe, przesyłane metodą Mihaly'ego bez drutu, na dystans. Przy dwóch kabinach telefonicznych tłoczą się ludziska i stoją w ogonku, cierpliwie czekając na swoją kolej: uwaga! telefon, połączony z telewizorem!.. Jeszcze jeden pomysł fantastyczny stał się faktem, widzimy na ekranie osobę, z którą rozmawiamy! Elektryczne oko podniosło powiekę!

O kilkadziesiąt metrów dalej — w innych halach i kioskach — olbrzymie afisze i barwne plakaty wiszą, jak zwycięskie sztandary w muzeum historycznem. Uwaga! Potęga reklamy! Prasa opowiada o swoich triumfach, artyści, graficy, kierownicy zakładów drukarskich zachwalają własne czyny wiekopomne.

Ale cóż... Lepsze plakaty znamy oddawna, bośmy je widzieli na słupach ogłoszeniowych i na dworcach kolejowych... Głośniki, megafony, odbiorniki grają w każdym sklepie „przyborów radjowych", w przedsionku każdego kina...

Technika tak opanowała życie współczesne, że przechodzień uliczny — nie płacąc grosza za miejsce! — obejrzeć może wszystko, cośmy na tem polu zdziałali. Ma na każdym placu publicznym codziennie wystawę oświetloną, radjową, samochodową, na każdej stacji wystawę kolejową, elektryczną, reklamową.

Dodać tu można nawiasem, iż kupcy nasi nie doceniają istotnych walorów reklamy i kiedy w innych stolicach wystawy sklepowe jarzą się w nocy od świateł — wiele z naszych sklepów zabijają deskami.

Miasto dzisiejsze jest jednym wielkim terenem wystawowym i tem się może tłumaczy, że wielkie rewje wszechświatowe — od Wembley do Barcelony — nie budzą już entuzjazmu w rzeszach ludzkich...

Ulica jest ciekawa. Technika w dzień zwykły wygląda lepiej niż w niedzielę.



Reklama jest również rozpowszechniona na Wschodzie. Metody jej są nawet podobne do tych, których używamy u nas. Na ilustracji naszej — plakaty obnoszone po Tokjo, jako reklama kapeluszy



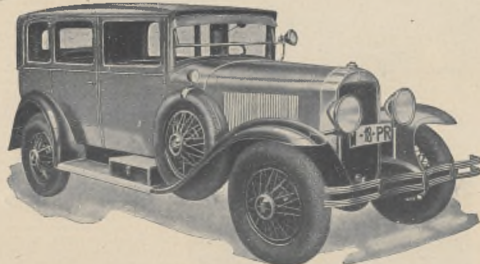
Oryginalnie reklamowana restauracja amerykańska „Jedz w kapeluszu" (Eat in the hat) może być dwuznacznie rozumiane, jako zachęta dla gości lubiących swobodę. (fot. Photoplat).



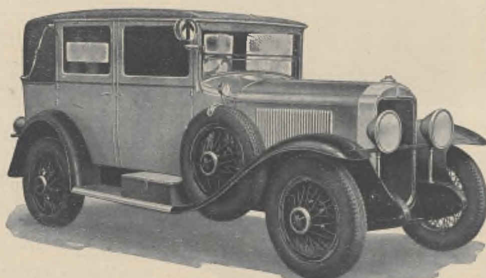
I-a Polska Wystawa Karoseryj na podwoziach marki BUICK







Jubileuszowy Buick 7 osobowy z karoserją krajowego wyrobu. Model 50 LK. Wielki i solidny wóz, w którym mieści się wygodnie 7 osób. Przedział kierowcy oddzielony jest od przedziału pasażerskiego ścianą, zaopatrzoną w rozsuwalną szybę. W wykwintnie urządzonem wnętrzu znajdują się dodatkowe składane foteliki wyściełane oraz wygodna, szeroka 3-osobowa tylna kanapa.



Jubileuszowy Buick 5 osobowy z karoserją krajowego wyrobu. Model 29/20 K. Model ten jest przeznaczony dla sportsmanów, którzy lubią sami prowadzić swój wóz i dlatego niema w nim ściany, oddzielającej przedział kierowcy od przedziału pasażerskiego.

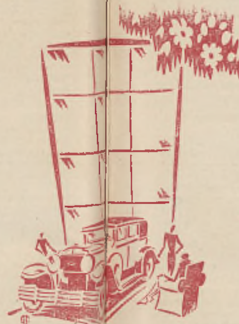
DOLINA SZWAJCARSKA

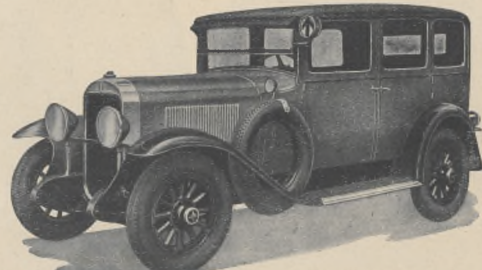
W WARSZAWIE, PRZY UL. SZOPENA 3/5

od 22 do 29 września r. b.

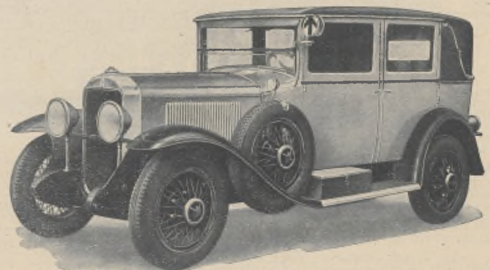
Wszystkich, zainteresowanych rozwojem rodzimego przemysłu samochodowego na tę wystawę zapraszamy. Wystawa zobrazuje nasz dorobek w dziedzinie budowy karoseryj samochodowych, wykonanych z krajowych materjałów i rękami polskiego robotnika. Wystawiony będzie przekrój nadwozia. Podczas wystawy odbywać się będą ciekawe pokazy kinematograficzne.

Wystawa otwarta będzie od godz. 10 rano do 10 wieczór.





Jubileuszowy Buick 5 osobowy z karoserją krajowego wyrobu. Model 29/27 K. Samochód ten jest specjalnie przeznaczony dla właścicieli, którzy życzą sobie mieć przedział pasażerski zupełnie oddzielony od kierowcy. Dlatego przedział kierowcy jest oddzielony ścianą, zaopatrzoną w przesuwalną szybę. Przedział kierowcy obity jest skórą, przedział pasażerski suknem lub pluszem.



Jubileuszowy Buick 5 osobowy z karoserją krajowego wyrobu. Model 29/20 K. W celu zapewnienia jaknajwiekszej wygody kierowcy, przednie siedzenie wykonane jest z dwuch oddzielnych foteli, które mogą być dowolnie ustawiane. Zarówno przednie jak i tylne siedzenie są wykończone solidnie i estetycznie i obite jednakowym materjałem.

Wejście bezpłatne

UPOWAŻNIONE ZASTĘPSTWO
SAMOCHODÓW BUICK, WYROBU GENERAL MOTORS

„Elibor"

SPÓŁKA AKCYJNA HANDLOWO-PRZEMYSŁOWA
„Ł. J. Borkowski"

Warszawa, Mazowiecka 11, tel. 61-74, 168-70.





BUICK

WYRÓB GENERAL MOTORS. KAROSERJE KRAJOWE.





Pod sztandarem biało-błękitnym



Policjant żydowski na ulicy w Tel-Awiwie.



Rodziny imigrantów żydowskich oczekują na wysłanie ich do kolonij rolniczych.

Ćwiczenia wojskowe policji żydowskiej w Tel-Awiwie.

„Walki Żydów z Arabami", „Zwycięstwo Żydów", „Beduini z Syrji maszerują na pomoc Arabom palestyńskim" — oto tytuły depesz, sensacje ubiegłych tygodni.

Więc walki? — Nie pogrom, nie rzeź bezbronnych, jak w Kiszyniowie lub Berdyczowie— ale walka?

Tak. Walka. Za wyjątkiem wypadków w Hebronie, gdzie tłuszcza arabska w okrutny sposób wymordowała rozmodlonych wychowanków jeszybotu — wszędzie samoobrona żydowska stawiła dzielny, a często bohaterski opór przeważającej sile arabów.

Postać Żyda, walczącego z bronią w ręku o każdą piędź swej siedziby narodowej interesuje nas podwójnie: jako naród o wielkich tradycjach walk o Ojczyznę i jako państwo o trzymiljonowej mniejszości żydowskiej.

By należycie pojąć ostatnie wypadki w Palestynie, należy rzucić okiem na rozwój historyczny idei sjonistycznej, przyjrzeć się wynikom kolonizacji żydowskiej w Palestynie oraz zastanowić się nad ewentualnemi możliwościami dalszej rozbudowy żydowskiej siedziby narodowej.

Kolebką sjonizmu jest Rosja. Sjonizm powstaje w pierwotnej swej fazie jako reakcja przeciwko nieokreśloności ekonomicznej Żydów, jako pęd do pracy produkcyjnej, rozumianej jako praca na roli. W drugiej swej fazie sjonizm jest dążeniem do pracy produktywnej, ale w ojczyźnie historycznej — w Palestynie. W tej fazie przepojony jest pewnym mistycyzmem: nasuwa się podobieństwo do ideologji mesjanistycznej wieszczów. „Państwo Żydowskie będzie tryumfem idei sprawiedliwości społecznej". Idea ta znalazła odbicie w organizacji Funduszu Narodowego (Keren Kajemeth), którego dewizą naczelną jest: „Za pieniądze narodu — ziemia dla całego narodu". Znaczy to, że za fundusz, zebrany drogą składek zakupuje się grunty, które nie stanowią własności prywatnej a są oddawane w dzierżawę wieczystą kolonistom, pozostając własnością publiczną. Trzecim wreszcie etapem rozwoju idei sjonistycznej jest t. zw. sjonizm polityczny stworzony przez Herzla. Datuje się on od ukazania się książki Herzla p. t. „Państwo żydowskie" oraz od pierwszego kongresu sjonistycznego w Bazylei w r. 1897.

Podstawą prawno-polityczną sjonizmu jest „deklaracja Balfoura" z roku 1917, zapewniająca Żydom stworzenie Siedziby Narodowej w Palestynie.

Ostatni kongres sjonistyczny (lipiec — sierpień r. b.) wyłonił z siebie Ajencję Żydowską — ciało złożone w połowie ze sjonistów, w połowie z niesjonistów — głównie potentatów finansowych obu półkul. Takie nazwisko jak Oscar Wassermann, prezes Deutsche Banku, lord Melchett (Alfred Mond), król przemysłu angielskiego i innych, dają gwarancję, że kapitały na inwestycje i kolonizację napłyną w pożądanem tempie.

Jakież są konkretne wyniki dotychczasowej pracy Żydów w Palestynie?

Fundusz Narodowy (Keren Kajemeth) oraz inne pokrewne organizacje wykupiły dotychczas przeszło 1.000.000 dunamów (4 dunamy — morga) ziemi. Wielką część tych obszarów stanowią grunty kamieniste i bagniska. Dzięki ofiarnej pracy chałuców (kolonistów) i olbrzymim inwestycjom zamieniono tę twardą i niewdzięczną ziemię na żyzne pola i kwitnące sady. Nadludzka to praca — praca jakiej może żaden z płatnych pracowników się nie podejmie, praca możliwa tylko w atmosferze czystego idealizmu i codziennej ofiary. Oto, co mówi wielki podróżnik i świetny pisarz prof. F. Ossendowski o chałucach: ...Sądzę, że w odniesieniu do chałuców i ich ofiarnej pracy za słabem jest określenie — „idealiści". Ich praca i twórczość przekraczają wszelką granicę idealizmu. Widziałem w Palestynie nowy typ Żyda, nowy typ człowieka: człowieka świętego"... I rzeczywiście wierzyć się nie chce, że ci młodzieńcy i te dziewczęta, zdrowi fizycznie i moralnie, o oczach, pełnych wiary i woli w zwycięstwo — to synowie i córki ghetta, synowie i córki rasy nerwowej, przygnębionej i znękanej.

Poza rolnictwem i przemysłami rolnemi (plantacje pomarańcz, winnice i t. p.) stanowiącemi największe bogactwo Palestyny, rozwija się przemysł budowlany. Na budowę miast inwestowano w latach 1924 — 26 cztery miljony funtów (ok. 180 miljonów zł.). Miasto Tel-Awiw, powstałe w r. 1909 liczy obecnie 70.000 mieszkańców, prawie wyłącznie Żydów.



Najwięksi romantycy — młodzieńcy żydowscy z Palestyny, jako przyszli zdobywcy mórz.

Imigracja Żydów do Palestyny posuwa się obecnie w tempie nader powolnym. Przyczyną tego są ograniczenia imigracyjne angielskie, polegające na wydawaniu certyfikatów uprawniających do kolonizacji tylko tym, co mogą się wykazać przygotowaniem rolniczem lub technicznem.

Równolegle z tem rozwija się intensywnie praca oświatowa i kulturalna. Sieć szkół niższych najgęstsza na świecie (w samym Tel-Awiwie nauka udzielana jest bezpłatnie w 68 szkołach — 9.471 dzieciom), szkoły gospodarstwa rolnego i rzemieślnicze, wzorowe gospodarstwa rolne, słynne T-wo hygieniczne „Hadasa", uniwersytet hebrajski w Jerozolimie, politechnika w Chaifie — oto niepełny jeszcze obraz instytucyj oświatowych żydowskich. A oto słowa prof. Ossendowskiego o ruchu kulturalnym w Palestynie:

...Jako pisarz i pracownik naukowy mam szczególne zainteresownie dla tej strony życia palestyńskiego. I muszę oświadczyć, że byłem poprostu zdumiony, widząc w Palestynie tak szeroko rozwinięty i tak głęboki ruch kulturalny, jakiego nie można dzisiaj spotkać w o wiele bogatszych krajach. Musi wywołać niezwykłe zdziwienie i zachwyt, kiedy się widzi, jak w ciężkich warunkach życiowych, w których żyją Żydzi palestyńscy, są w stanie tyle wysiłków i starań poświęcić postawieniu swej zbiorowości na wysokiem niveau kulturalnem. Życie kulturalne jest uważane w Palestynie za biesiadę roskoszną po wielkiej codziennej pracy. Zupełnie nie przesadzam, jeśli stwierdzę, że mało gdzie wykazuje człowiek tyle zainteresowania dla kwestji duchowych, jak w nowej Palestynie. Czy możecie gdziekolwiek znaleźć robotnika, rolnego, który po ciężkiej pracy całodziennej, po pracy nadludzkiej zasiadł do czytania książki i to nie zwykłej sobie książki sensacyjnej, ale książki, którą u nas czyta najwyższa inteligencja. Wiem, że ci robotnicy rolni jeszcze wczoraj byli studentami. Ale nietylko oni wykazują tak silne zainteresowanie wiedzą i literaturą. Stanowi radosną niespodziankę dla mnie, móc patrzeć jak prości kramarze żydowscy, którzy w krajach rozproszenia żadnego najmniejszego nie wykazują zainteresowania dla literatury, zyskują tutaj tak duże uświadomienie kulturalne, że można z nim rozmawiać o nowościach świata literackiego.

Na specjalną uwagę zasługuje kult dziecka w Palestynie. Oto, co pisze Pierre La Mazière: „Życie kolonistów jest twarde, odmawiają sobie wszystkiego — ale dziecku nie może niczego zabraknąć; śpią w nędznych barakach, ale dzieci

mieszkają wspólnie w ślicznym pałacyku; są zbyt biedni, aby mieć siatki przeciwko moskitom — zato każda kołyska jest otoczona siatką z białego tiulu, nikt na kolonji nie pije mleka, nie jada jaj, bananów lub drobiu: mleko, jaja, banany i drób są dla dzieci. Na czterystu mieszkańców kwucy (kolonji) Ein Harod — 40 osób poświęca się pracy w Beith Yeladin — (domu Dziecięcym).

A republika dziecięca Kwar Yealadin, gdzie 125 sierot po ofiarach ukraińskich żyje w prawdziwem szczęściu, swobodzie i pracy. Rządzeni własnemi ustawami, słuchając wybranego przez siebie zarządu (kontrolę sprawuje dyrektor, wyznaczony przez egzekutywę sjonistyczną w Jerozolimie) — przygotują się od najmłodszych lat do pożytecznego i produkcyjnego życia.

O wypadkach ostatnich tygodni przytaczamy zdanie prof. Ossendowskiego:

Ostatnie smutne wydarzenia zaskoczyły mnie w sposób przykry. Nieraz w Palestynie wypadło mi wiele mówić na ten temat z Arabami, którzy nietylko, że nie mówią źle o Żydach, ale po większej części są żydom bardzo wdzięczni, bo widzą w sposób jasny i jaskrawy, jak silnie Palestyna rozwija się dzięki Żydom. Nieco inaczej to wygląda u arystokracji arabskiej, tych, którzy wieczorem ubierają smokingi i są gośćmi kół rządowych. Mówią o Żydach z nienawiścią i podjudzają masy arabskie, które dążą swem prostem sercem do zgodliwego i przyjaznego współżycia z żydowskimi mieszkańcami kraju. Ostatnie wydarzenia w Palestynie zaciążyły na mnie silnem przygnębieniem i jestem głęboko przekonany, że winy za nie nie można wyłącznie przypisywać masom arabskim. Tej winy trzeba szukać na wyższych miejscach...

Na zapytanie, co prof. Ossendowski sądzi o utworzeniu Polskiej Ligi Przyjaciół Palestyny, oświadczył co następuje:

Jeśli chodzi o mnie, to z najgłębszem zadośćuczynieniem przystąpiłbym do takiej Ligi i współpracowałbym w niej. Gdyby mi czas na to pozwolił, wziąłbym na siebie nawet inicjatywę do jej utworzenia na wzór innych krajów. Uważam bowiem, że zaciągnąłem teraz wobec Palestyny pewne zobowiązania, z których się z całą gotowością chcę i muszę wywiązać.

Rozmowę swoją zakończył prof. Ossendowski cytowaniem pogawędki, którą miał z Dr. Krause, dyrektorem szkoły rolniczej w Mikweh Izrael. Pogawędkę tę zamknęło żartem rzucone oświadczenie D-ra Krausego, że „Żyd, to jest taki człowiek, który właśnie to zrobi, czego dokonać niepodobna..."

„Sądzę — oświadczył Ossendowski — że prawda tego żartu zamyka treść olbrzymiej tej pracy, której Żydzi dokonali w Palestynie".

Niezależnie od tego, jak się zapatrywać na bezpośrednie przyczyny ostatnich zajść w Palestynie, każdy trzeźwo patrzący zdaje sobie sprawę, że to państwo żydowskie buduje się na wulkanie, i że w każdej chwili bohaterów idei pochłonąć może rozhukany ocean arabski.

A czy można wogóle zapatrywać się na Palestynę, jako na państwo żydowskie, czy odpowiada ona warunkom kraju imigracyjnego, dokądby mógł odpływać przyrost naturalny czy wreszcie tu kryje się rozwiązanie t. zw. kwestji żydowskiej, zaprzątającej umysły polityków i społeczników?

Odpowiedź na te pytania, mimo sympatji, mimo zachwytu nawet dla ofiarnej pracy Żydów w Palestynie — wypadnie negatywnie.

Imigracja do Palestyny wynosi obecnie zaledwie 10% żydowskiego przyrostu naturalnego. Normowana jest w tych granicach ze względu na obawę bezrobocia w Palestynie. Przy zwiększeniu kilkakrotnem inwestycyj możnaby pomyśleć o spotęgowaniu imigracji celem pomnożenia rąk pracy — w najlepszym jednak razie — za lat kilkanaście — mogłaby imigracja pochłonąć zaledwie przyrost naturalny ludności żydowskiej.

Ale co wtedy? Palestyna, jako kraj niewielki i w zasadzie mało urodzajny, mogłaby wyżywić conajwyżej do 2 miljonów ludności. Cóż to znaczy w zestawieniu z ogólną liczbą Żydów, która dziś przenosi 15 miljonów.

Twierdzenie sjonistów, że sam fakt istnienia 2 miljonowego państwa żydowskiego poprawi dolę Żydów w innych krajach — wydaje się mało przekonywujące.

Sjonizm — piękna w swem naturalnem, ludzkiem dążeniu — utopja przyniosła jednak Żydom jedną niezaprzeczoną korzyść natury moralnej. Oto obalił pokutujący jeszcze wśród szerokich mas przesąd o niezdolności Żydów do pracy produkcyjnej i o ich tchórzostwie.

Typ chałuca-studenta lub zwykłego kramarza z ghetta, pracującego przy pługu na ziemi nie będącej własnością prywatną (własność publiczna — kwucy); postać tegoż chałuca broniącego bohatersko swej ziemi — to żywy dowód, że Żyd w odpowiednich warunkach może być cennym i wartościowym elementem społeczeństwa, w którem żyje i pracuje.

A. N.

Wywiad z najmłodszymi

(„7 DNI" ROZMAWIA Z PRZYSZŁYMI STRAŻAKAMI I ŻOŁNIERZAMI).

Wywiad ten był stanowczo niepodobny do wszystkich innych wywiadów, podczas których indagowana wielkość stara się mówić... tylko o sobie. A mówi nonszalancko, z odcieniem politowania, że ludzie mogą jeszcze wszystkiego o nim nie wiedzieć.

— Więc powiedz pan czytelnikom... — to mówiąc, puchnie z zadowolenia, dumny poczucia własnego dostojeństwa.

Gentleman względnie gentlemeni, z którymi miałem zaszczyt mieć dnia tego wywiad, nie byli bynajmniej na razie ani wielkościami, ani wielkimi.

Znalazłem się bowiem w klasie wstępnej gimnazjum Ludwika Lorentza w Warszawie.

— Pragnąłbym mieć wywiad dla „7 dni" z okazji rozpoczęcia roku szkolnego.

W klasie powstaje wrzawa nie do opisania.

— Wiemy, wiemy, to takie ładne pismo z obrazkami!...

— Takie czerwone z myszką!

— Głupiś, Stasiu, to co tydzień inne...

Dopiero gromkie „cicho!" pana „psora" uspokoiło gromadkę.

— Jureczku, zbliż się do pana — zwraca się srogi pedagog do miłego blondaska, który wnet podchodzi do mnie rezolutnie. — To nasz najlepszy uczeń...

— Powiedz mi, Jureczku, jak się czujesz w szkole?

— Doskonale, — odpowiada uprzejmie malec, lokując mi się wygodnie na kolanach — tylko, że podczas wakacji jeździłem na rowerze.

— Czy nie szkoda ci roweru?

— Ja i teraz jeżdżę, nawet przejechałem kurę.

— Kurę?...

— Tak, właściwie to już ona była przedtem przejechana.

— Ach była przejechana?...

— Jednak i ja przez nią przejechałem, a później tatuś powiedział, że za to można się dostać do więzienia, bo zrobiłem to naumyślnie. Czy to prawda, panie profesorze?

Tytuł ten spadł na mnie tak nieoczekiwanie, tak nagle, że niemal nie jęknąłem, lecz zaraz przypomniawszy sobie swoje obowiązki pytałem dalej:

— Czem chcesz być jak dorośniesz Jureczku?

— Strażakiem — odparł malec pewnie — takim w błyszczącym bełmie.

Okazało się, że na 42 uczniów, 30 chce być strażakami 8 wojskowymi, 2 lotnikami, 1 dorożkarzem i 1 inżynierem, (jak tatuś).

Uspokojony co do losu przyszłych pożarów w Polsce zaczynam mówić o samej nauce.

— ...bo, bo proszę pana — mówi zaprzyjaźniony już ze mną chłopak — to strasznie śmiesznie siedzieć tak na ławkach, człowiek rozumie, że dzieciństwo skończone.

— Pytam *człowieka* o wiek? Skończył już lat osiem i jest najsilniejszym w klasie.

— Nie prawda! Romcio go nabił w zeszły poniedziałek, — przerywa sąsiad z bezładnie rozczochraną czupryną.

— Jakże tam ze ściągaczkami?

— Co to jest ściągaczka? — mówi dyplomatycznie Jurek.

— Et! Zawracanie głowy! Henio dostał dziś aż dwie ściągaczki — przerywa znów niesforny sąsiad.

— Kłamiesz, poszedłby pod sąd.

Tamten milknie.

— Pod jaki sąd?

— Każde dwie ławki tworzą grupę, która ma swego dowódcę i zastępcę. Dowódca winien dawać dobry przykład i napominać kolegów. To się nazywa sąd. Jestem dowódcą grupy.

— Sędzią kalosz! — mruczy jakiś głos z pod ławki.

Współpracownik „7 dni" p. Jerzy Lewestam w rozmowie z jednym z najmłodszych.

— Cicho!...

Profesor wyrywa jednego z uczniów.

Pisze ładnem wyraźnem pismem: *Rolnik już zorał rolę.*

— To jego pierwsza odpowiedź w tym roku — mówi nauczyciel.

Zbliżam się by zasięgnąć informacyj.

Czy miał tremę?

— O nie! Było bardzo przyjemnie, zresztą ogromnie lubię naszego „pana" i chciałbym szesnaście razy dziennie odpowiadać.

— Szesnaście? Czy nie za dużo? A może kolega zmieni zdanie w przyszłości.

— Nie, bo *lubię gdy na mnie patrzy cała klasa.*

* * *

Dzwonek!

Klasa drgnęła.

Rozmówca sfrunął mi literalnie z kolan. Rozumiem, aż nazbyt dobrze, że nie pomogą żadne fortele dziennikarskie. Niema siły ludzkiej, któraby go zmusiła po dzwonku do udzielania „wywiadów".

Modlitwa!

„Dzięki Ci Boże za światłość tej nauki"... mówi z przejęciem chór dziecinnych głosików.

Skończone.

Zawrzało w klasie.

Krzyki! Trzask pulpitów! Wzajemne uwagi, wypowiadane dosyć donośnym tonem!

Biegną. Uradowani, Szczęśliwi. O sto mil od ludzi, od wywiadów, pracy i kłopotów.

Godzina odpoczynku!

— Felek, nie zapomnij, obiecałeś mi przynieść jutro jabłko!

— A ty czerwony ołówek. Serwusik!

Wszak to pierwszy, najbardziej radosny rok nauki.

* * *

— Panie profesorze, czy pan będzie o nas pisać?

— Będę pisać o was i o rozpoczęciu roku szkolnego — odpowiadam zupełnie oswojony z nową godnością.

— I pan napisze, że i ja chodzę do szkoły i że nazywam się Skibiński?

— Dobrze.

— To może, proszę pana — mówi gruby, milczący dotąd chłopaczek, który nie kwapił się jakoś do wyjścia — będzie pan łaskaw napisać, że na przyszły rok Zbysio też pójdzie do szkoły.

— Zgoda!

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Grubasek szurgnął grzecznie nogą.

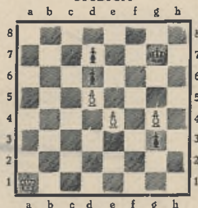
— Dowidzenia!

Dotrzymuję słowa. Na przyszły rok, jeśli Zbysio będzie pilny i grzeczny, z pewnością pójdzie do szkoły, a kiedy skończy, to... zostanie strażakiem.

Jerzy Lewestam.

Rozrywki umysłowe

STUDJUM



Posunięcie na białe. Czarne osiągają nierozegraną.

MATCH O MISTRZOSTWO ŚWIATA

Jak wiadomo, mistrzostwo świata zdobywa się jedynie drogą wygrania metch'a z dotychczasowym posiadaczem tego tytułu. Obecnie król szachowy Alechin rozgrywa ze słynnym mistrzem Bogolukowem pojedynek decydujący o championach światowym. Pierwszą partję wygrał Alechin, czwartą Bogolubow. Druga i trzecia skończyły się nierozegraną. Ogólnie przewidywane było znaczne zwycięstwo Alechina W każdym razie liczyć się należy z możliwością bardzo zaciętej walki. Matca jest rozgrywany do sześciu wygranych partji. Po trzydziestu partjach decyduje większość wygranych.

KWADRAT MAGICZNY.

ul. Janette Ruili.



a, a, a, a, a, a, k, m, m, o, s, s, t, t, w, w.

W kratki wstawić litery tak, aby utworzyć cztery słowa, czytane zgóry na dół i z lewej ku prawej.

BILETY WIZYTOWE

ułożył Józef Roniger ze Lwowa

STEFKA ITALLI

TUNEK PORYSOW

POR. ADAM BLASOSKI

Z powyższych liter ułożyć zajęcie, lu bstanowisko tych osób.

PODEJRZANY BILET WIZYTOWY

STACH HR. OPEL

Ułożyć „zawód" tego pana.

NAGRODY

Za rozwiązanie trzech „biletów wizytowych" oraz kwadratu magicznego przeznaczamy do rozlosowania nagrody w postaci pięciu książek beletrystycznych. Rozwiązania nadsyłać należy p. a. redakcji z napisem „Rozrywki umysłowe" do dn. 1-go października b. r.

Rozwiązanie zadań z N-ru 33.

SZARADA

O-gór-ko-we nas-ta-ły cza-sy.

BILETY WIZYTOWE

KRAWIEC
AGRONOM
STOLARZ
TAPECIARZ
ŚLUSARZ
KOMINIARZ
ARTYSTA
KOMORNIK

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z N-ru 33 otrzymują (w wyniku losowania) pp.: Janina Stillerówna, Dąbrowa Górnicza, kopalnia „Mortimer", Bronisława Nowakowska, stacja kolej. Małkinia, Antoni Szuber, Suwałki, koszary 41 p. p., Gina Seidengartowa, Sosnowiec, ul. Piłsudskiego 42, Józef Froelich, Wilczogęby, poczta Sadowne, powiat Węgrowski.



Fajerwerki na moście Henryka IV (Wide World)

Lśniące noce paryskie

Nikt lepiej nie odczuwa piękna lśniących światłami nocy Paryża od tych, którzy mieszkali podczas wojny w stolicy świata. Bulwary pogrążone w mrokach straciły cały swój pociągający czar. Nie wolno było zapalić cygara na ulicy, a błysk zapałki powodował niezwłoczny gwizdek policjanta i podejrzenie o szpiegostwo. Mieszkańcy zaopatrzyli okna w grube firanki. Nieostrożny, który pozwolił się wymknąć nazewnątrz niepewnemu światłu świecy, narażał się na wielkie przykrości. Cała dzielnica o tem tylko mówiła. Policja brała pod obserwację cały dom. Wojna zamieniała się w Paryżu na walkę ze światłem.

Paryż stał się podczas wojny masą cieni, które zdawały się nosić żałobę po swych poległych. Jeszcze niezatarły się w pamięci paryżan te koszmarne noce, podczas których przechodnie wpadali na siebie, na progach własnych domostw, kiedy uśmiech równał się bluźnierstwu. Papierosy, cygara, smaczne aperitify znikły z miasta. Brak ich był dla wielu największem nieszczęściem, wspomnienie o nich powodem spleen'u. Ludzie patrzyli wówczas w gwiazdy z tą samą uporczywością co skazaniec w „Balladzie o celi w Readding" Oscara Wilde'a. Gwiazdy były jedynem lśnieniem nocy paryskiej. Niekiedy towarzyszyły im błyski szrapneli.

Z chwilą ogłoszenia zawieszenia broni, światło nie odrazu powróciło do Paryża. Trwożnie kryło się we wnętrzu domów. Nie miało odwagi wystąpić na ulicę. Jakże? Przecież je tak długo zwalczano. W tej dziwnej, przejściowej epoce, światło uważane było za nieskromny luksus. Aż wreszcie, pewnego dnia wybuchnęło na bulwarach. Wszystkie latarnie zapłonęły wulkanem płomieni. Tworzyły one radosną procesję, wlokącą za sobą gromadę cieni. Wtedy dopiero Paryż zrozumiał, że wojna się skończyła. Rozpoczęła się teraz inna wojna, radosna, wojna światła z ciemnością ulicy. Bo ulice, przyzwyczajone do mroku opierały się wytrwale błyszczącemu intruzowi. A intruz szalał. Wciskał się w każdy zaułek, do mieszkań, ponurych dotychczas kamienic, na balkony, dachy, ogłaszając swą wiktorję tysiącem iskier, lśniąc w oczy przechodniom radością odzyskanej wolności.

Z bulwarów światło dostało się na Pola Elizejskie, przemknęło się chyżo przez rue de la Paix, stoczyło krótką, lecz zaciętą utarczkę z ulicą 4 września, aż wreszcie wtargnęło na Montmartre gdzie na Placu Pigalle rozparło się triumfująco, wysyłając swe awangardy w Aleję Wagram.

Podczas komuny w 1871 r. podpalono gmach Ministerstwa Skarbu, jako widomy znak triumfu. W 1918 Wieża Eiffel zapłonęła blaskiem tysięcy kinkietów. Zdawało się, że nienasycone swą orgją światło targnie się na gwiazdy, by przyćmić ich blask.

Reklama świetlna mnoży się z zadziwiającą szybkością, jakgdyby chciała sobie coprędzej powetować rany zadane jej przez wojnę.

Oto wieczne pióro zachwala swoje zalety, tam znowuż postać elektrycznego oficera angielskiego pali luksusowego papierosa ‚którego: „należy tylko raz spróbować, by potem palić zawsze". Świetlny zegar, przypomina, zatwardziałym i niesystematycznym łazikom, która godzina. Wystawy wielkich magazynów bluzgają na ulicę potokami światła, błyskając swemi „okazjami" i „taniością". Już o 500 metrów widać, że w Galerjach rozpoczęła się „biała wystawa". Teatry nie pozostają również dłużnikami światła, co zaś dotyczy się kin, to płoną prawdziwemi pożarami. Blask szturmuje nawet nowe budowle, czepiając się drewnianych ścian rusztowań. Nawet gazety stały się orędowniczkami światła. Wybory, wielkie wydarzenia polityczne, artystyczne lub literackie. sensacyjne aresztowania. Trzeba tylko podnieść głowę na rogu ulicy Richelieu i bulwaru Montmartre, lub przed dworcem Sain-Lazare, ażeby dowiedzieć się o wszystkiem, nawet o tem, że ta a nie inna pasta do zębów znakomicie chroni jamę ustną, a pewien „aperitif" jest zarazem „digestif".

Wynalazek neuonu pozwolił oświetlać całe budowle łagodnem, miłem dla oka zielonkawem światłem. Przepiękny też widok robią gmachy Opery i Ministerstwa Marynarki.

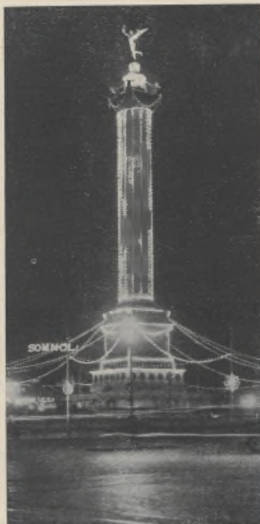
Potem światła biją do góry, zaogniając ciemny granat nieba jakgdyby łuną pożaru.

Tak oto światło sprzedaje swoje wdzięki na usługi przemysłu i handlu. Jednakże nie może ono powiedzieć, że stało się wszechwładnym panem Paryża. Istnieją bowiem dzielnice, które mu się będą jeszcze długo skutecznie opierały. Dzielnice te, których urok historyczny związany jest nieodłącznie z panującym w nich półmrokiem, drzemią nadal spokojnie, otoczone przez serca paryżan tkliwą miłością. Światło zdałoby się powstać przeciw historji, gdyby wtargnęło do wnętrza Notre Dame, która podobna jest w nocy do cichej kaplicy, oświetlonej przez skromne świece.

(h. k.).



Fontanna na Placu Zgody (Wide World)



Iluminacja w dniu 14 lipca. (Wide World)



Reklamy świetlne zamieniają w Paryżu noc na dzień. (Wide World)



Iluminacja Łuku Triumfalnego (Wide World)



NOWOCZESNE, INDYWIDUALNE PIELĘGNOWANIE URODY.

Dawniej zasadzało się pielęgnowanie urody na bezkrytycznym doborze przeważnie szkodliwych szminek, pudrów i kremów, celem pokrycia wad urody. Dziś zrozumiała uświadomiona kobieta konieczność celowej higjeny, tudzież potrzebę zwalczania przedwczesnego więdnienia zabiegami oraz kosmetykami, dostosowanemi do właściwości i zmian danej cery. Tą drogą przeobraża się np. tłustą, połyskującą cerą, skłonną do tłustego łuszczenia się oraz wągrów i porów — w prawidłową. Jeden z tych objawów lub zajęcie środkowej tylko części twarzy wystarcza do rozpoznania skłonności do tłuszczenia się cery. *Przedewszystkiem wystrzegać się kremów, mydeł, zimnej wody i zagranicznych pudrów metalicznych*, zasklepiających pory. Twarz spłókiwać długo 3 razy dziennie gorącą wodą, a rano i wieczorem zastosować leciuchno *proszek marmurowy „Miraculum"*. Co drugi wieczór naparzać twarz przez 5 minut nad parą, spłókać gorącą wodą a po osuszeniu wyciskać większe wągry. W razie łuszczenia się — powlekać twarz na 10 minut przed myciem oliwą jadalną. Posługiwać się wyłącznie odtłuszczającym pudrem *higjenicznym D-ra Lustra.*

Dr. Z. B.

Kupujemy pchły — płacimy najwyższe ceny!

Dziwny ten okrzyk bojowy rozległ się niedawno w Stanach Zjednoczonych, gdzie rządowa instytucja wyznaczała ceny na każdy żywy okaz domowego robactwa.

Przypuszczam, że i u nas handel podobnym żywym towarem doskonale by się rozwinął, moglibyśmy liczyć nawet na poważny eksport, jednak i w Ameryce wynik nieoficjalnego zresztą wystąpienia owej instytucji był nadzwyczajny.

Zapewne Czytelnik nie rozumie jeszcze w jakim celu Amerykanom były i są potrzebne owe „miłe" owady. Tymczasem wcale nie tak trudno odgadnąć cel.

Nie potrzebujemy chyba rozwodzić się nad tem specjalnie, że największych naszych nieprzyjaciół powinniśmy szukać wśród najrozmaitszych gatunków owadów. Czytamy już w Biblji o pladze szarańczy, która zniszczyła zasiewy Egiptu, a z czasów wojny światowej wiemy, jak straszną rolę odgrywało wszelkiego rodzaju robactwo przy rozpowszechnianiu epidemji duru i innych zakaźnych chorób. Nic więc dziwnego, że wszystkie państwa kulturalne podjęły walkę ze szkodliwemi insektami, uciekając się często do rozpaczliwych wprost środków. Rząd Stanów Zjednoczonych zrozumiał, że racjonalna walka z robactwem jest tylko wtedy możliwa, jeśli wróg jest nam dokładnie znany, a potrzeby jego i warunki, specjalnie sprzyjające jego rozwojowi dokładnie zbadane.

Stworzono w tym celu specjalne „insektarjum", w Vience. Ludność okoliczna nazwała owe insektarjum „fermą pcheł". Nazwa ta powstała nie bez powodu, gdyż hodują tam pchły, pluskwy, karaluchy, mole i temu podobne szkodniki. Bardzo miło czują się tam karaluchy. Terenem ich życia są wygodne skrzynie, starannie strzeżone przed silniejszem światłem i stale utrzymane w cieplej temperaturze. Molom dostarcza się najprzedniejszych gatunków wełny i bawełny, te zaś gatunki, które żywią się krwią, mogą paswić się dowoli nad biednemi kotami, psami i kurami, które stanowią żywy inwentarz oryginalnych mieszkańców fermy.

Największą trudność nastręczała hodowla pluskiew. Dla nich przeznaczono jako żer białe myszy, które zresztą często już musiały cierpieć w imię nauki i dobra ludzkości. Umieszczono więc białe myszy w większych klatkach solidnie zapluskwionych, oczekując dobrych wyników hodowli. Tymczasem stało się zgoła inaczej. Ku wielkiemu zdumieniu uczonych zauważono, że zdnia na dzień ilość pluskie wmaleje, zamiast powiększać się przez pomnażanie. Długo nie można było sobie wytłomaczyć dziwnego tego objawu, aż wreszcie przekonano się, że nie pluskwy gryzły myszy, lecz myszy z prawdziwą pasją zjadały pluskwy.

Zagadnienie jednak pozostało nadal nierozwiązane, gdyż nikt nie chciał, nawet dla miłości wiedzy, oddać się na pastwę robactwu. Postanowiono więc ostatecznie stale uzupełniać zapasy pluskiew drogą zakupna. Początkowo płacono 4

(Dalszy ciąg ze str. 22)

Z PODRÓŻY ZEPPELINA DOOKOŁA ŚWIATA

Telegramm — Télégramme — Telegramma

St. Imier — New York — № 1367 — Wörter – Mots – Parole 48

29 / 8 — 15 — 30

30 / 8 — 7

Re Commercial

Longines Watch Factory

St. Imier

We received the following telegram stop I have used the Longines time pieces for navigation purposes on the round the world trip of the Graf Zeppelin and I have found same to be most satisfactory Hans von Schiller captain pilot on Graf Zeppelin

Wittnauer

Rycina nasza przedstawia fotografję telegramu nadanego w New Yorku dn. 29 8 b. r., w której kapitan-pilot sterowca „hr. Zeppelin" Hans von Schiller wyraża swoje największe zadowolenie z precyzyjnego funkcjonowania chronometru Longines podczas lotu dookoła świata.

TEODOR DREISER. *(3)*

RĘKA

(Tłom. Dr. H. Bukowska).

A jednak nasza pielęgniarka zapewnia, że takiego podrażnienia zewnętrznego wcale niema. Chory nie wierzy djagnozie lekarza. Ilekroć jednak spróbuje zasnąć, zwłaszcza nocą, zrywa się i przybiega na kurytarz, twierdząc, że jeden z duchów, które, jak mówi, prześladują go, chce go udusić. Zdaje się, że mówi on to w dobrej wierze, gdyż wybiega krztusząc się, dławiąc dotykając gardła, tak, jak gdyby ktoś naprawdę ściskał mu krtań. Opowiada mi że to sprawka złych duchów, i prosi mnie, abym nie zwracała na niego uwagi, chyba gdyby zawołał na pomoc, albo zadzwonił. W końcu przestałam już myśleć o tem, chyba że sam mi przypomni.

Wierzy on też, że te same duchy psują mu jadło, że dodają doń trucizny albo nadają mu wstrętną woń, tak, że nie może on jeść niczego. Gdy znajdzie jakąś rzecz jadalną, porywa ją i połyka natychmiast, nawet nie żując, aby jak mówi, duchy nie miały czasu jej zepsuć. Mówi, że niegdyś ważył 90 kilogramów. Dziś waży już tylko pięćdziesiąt cztery. Wypadek ten, doktorze, jest niezwykle dziwny i wstrząsający.

Doktór Major twierdzi, że wchodzi tu w grę poprostu halucynacja, że, co do wrażenia duszenia jest ono spowodowane gruźlicą, i że z tego samego źródła pochodzą dolegliwości żołądkowe. Przez asocjację idei albo poprostu przez przywidzenie, chory wyobraża sobie, że go ktoś dusi, i zatruwa jego jadło, podczas gdy nic takiego się nie dzieje. Doktór Major mówi, że nie ma pojęcia, skąd mogły mu przyjść takie przywidzenia. Chciał już kilkakrotnie porozmawiać o tem z p. Dawidsonem, ale gdy tylko zada mu jakie pytanie, p. Dawidson przerywa rozmowę, wstaje i odchodzi.

Najciekawszym szczegółem tej manji jego, że ktoś usiłuje udusić jest, że gdy drzemie tylko, zawsze ocknie się na czas, by odtrącić swego wroga. Utrzymuje, że siła tych duchów nie dorównywa jego własnej, gdy czuwa, a nawet podczas drzemki. Podczas snu jednak one są silniejsze od niego i wówczas mogą mu zaszkodzić. Niekiedy, po takim ataku lęku, przychodzi do mego stołu, na kurytarz i prosi abym mu pozwoliła usiąść koło siebie. Twierdzi, że go to uspokaja. Zawsze naturalnie mu pozwalam, ale nigdy nie przejdzie pięć minut, żeby sobie nie poszedł, mówiąc, że go męczą, albo, że nie mógłby zapanować nad sobą, gdyby dłużej pozostał, gdyż „one" przez ramię mówią mu do ucha takie okropne rzeczy.

Powtarza często: „Słyszała pani, panno Ligett? Te ohydy, te podłości, które człowiek ten chwilami potrafi wypowiadać, są zadziwiające". A gdy go zapewniano, że nic nie słyszałam, odpowiada: „Jestem z tego bardzo zadowolony".

— Czy nigdy nie próbowano uwolnić go od tych przywidzeń zapomocą hypnotyzmu?

— Nic mi o tem nie wiadomo, doktorze. Być może, że doktór Major próbował. Jestem tu dopiero od trzech miesięcy.

— Gruźlica jest napewno powodem dolegliwości gardła, jak to już powiedział doktór Major. Co do dolegliwości żołądkowych, to mają one ten sam powód, co zresztą w danych warunkach, jest zupełnie naturalne. Trzeba może będzie nieco później uciec się do hypnotyzmu. Zobaczymy. Tymczasem, dobrze pani zrobi, uprzedzając wszystkich, którzy się z nim stykają, by nie okazywali mu żadnego współczucia, i by nie udawali, że wierzą w te jego brednie. To zachęciłoby go tem bardziej. I niech regularnie zażywa lekarstwo. Nie pomoże mu ono, ale przyniesie mu ulgę. Doktór Major prosił mnie, bym się tym wypadkiem specjalnie zajął, a ja życzyłbym sobie, by warunki były możliwie jak najpomyślniejsze.

— Dobrze, panie doktorze.

XI.

Styczeń, 1909.

Ujemną właściwością doktorów jest to, że nie wiedzą oni nic pozatem, co się ukazuje na powierzchni, co wynieśli z uniwersytetu i z praktyki — i że po większej części znają tylko skutki pewnych leków, wypróbowanych w podobnych wypadkach przez swych poprzedników. Nie mają oni żadnej imaginacji, i nie rozumieją niczego, nawet gdy się im chce niektóre rzeczy wytłómaczyć.

Weźcie naprzykład tego pięknie ubranego młodzieńca, który przyjeżdża do zakładu własnym powozem, tak nadzianego wiadomościami z zakresu, jak mówi, psychjatrji, że mało nie pęknie. Wpatruje się on w Dawidsona, od czasu do czasu głaszcze go po gardle (nazywa to masażem), tłumaczą mu, że cierpi on na początki gruźlicy gardła i na dolegliwości żołądkowe, nie zwracając jednak najmniejszej uwagi na to, co Dawidson osobiście słyszy i widzi. Wyobraźcie sobie tego młokosa, który chce wmówić w Dawidsona, że cierpi on jedynie na gruźlicę, że nigdy nie widuje Mersereau, stojącego obok niego, pochylającego się nad nim, podnoszącego rękę i zapowiadającego mu, że ma zamiar go zamordować, — że wszystko to jest przywidzeniem.

Wyobraźcie sobie, że chłystek ten powiedział, że Mersereau nie może chwytać Dawidsona za gardło, podczas snu, gdy Dawidson sam, obejrzawszy zaraz potem w lustrze swoje gardło, widzi na niem ślady palców, palców Mersereau! Czy zresztą, od tego ściskania gardło jego nie było zaczerwienione i bolesne, bo Mersereau w ostatnich czasach ściskał mocno. Wszak to właśnie powodem było znaków na szyi. A jemu mówią, że on sam powoduje te plamy, trąc i obmacując szyję, i że to jest gruźlica!

Czyż wobec tego nie mogła powstać w człowieku chęć opuszczenia kliniki? Gdyby nie panna Ligett i panna Koehler, jego osobista pielęgniarka, i ich troskliwe starania, byłby to uczynił. Ta panna Koehler warta była swojej wagi w złocie, za troskliwość, z jaką dowiadywała się o wszystkich jego drobnych przyzwyczajeniach, dla jej niezmiennej słodyczy, dla pogody, z jaką znosiła jego wybryki. Nie zapomni o niej w swym testamencie.

Opuścić jednak to schronisko i szukać przytułku gdzieindziej, byłoby szaleństwem, chyba, gdyby mógł zabrać z sobą pannę Koehler. Zresztą, dokąd się uda? Tu przynajmniej byli inni ludzie, chorzy, jak on, którzy go rozumieli, okazywali mu współczucie, ludzie, którzy nie byli przekonani, — jak wszyscy ci doktorzy — że wszystko, na co on się uskarża, to tylko przywidzenia. Jest naprzykład adwokat, stary Rankin, który wycierpiał niewypowiedziane prześladowania ze strony niektórych osób, przeważnie polityków, i przeświadczony był o rzeczywistości kłopotów Dawidsona, nawet, zupełnie jak miss Koehler, lubił, gdy mu Dawidson o nich opowiadał. Tych dwoje nie twierdziło, jak lekarze, że cierpi on na powolną gruźlicę gardła, że może żyć jeszcze bardzo długo, i przezwyciężyć objawy chorobliwe, gdy tylko zechce. Poprzestawali na dotrzymywaniu mu towarzystwa w chwilach, gdy Mersereau zostawiał go w spokoju.

Najgorsze było, że tak spadł z sił, dla braku snu i pożywienia, że pewnie nie pożyje już długo. Nowy lekarz, wezwany przez doktora Majora na konsyljum, orzekł, że oprócz zachorzenia gardła, rozwinęła się u niego ostra anemja, spowodowana długotrwałem niedożywianiem się, i że tylko injekcja strychniny mogłaby mu ulżyć. Ale i on nie chciał słyszeć o tem, że jadło Dawidsona było zatrute przez Mersereau. W dodatku teraz, gdy Dawidson musiał leżeć w łóżku, i gdy nie mógł już tak swobodnie wyskakiwać, jak dawniej, stał się celem prawdziwej nawały szatańskich sztuczek ze strony Mersereau. Nie tylko widział swego prześladowcę — zwłaszcza ku wieczorowi i w pierwszych godzinach dnia — który unosił się nad nim jak wielki, czarny cień niemal dotykalny, którego sylwetka była zupełnie do niego podobna — ale czuł też, jak ręka jego wroga posuwa się po nim. Co gorsze, po za sobą i dookoła siebie widział teraz często całą chmarę tych obrzydliwych istot, towarzyszy i pomocników Mersereau, którzy zjawiali się, aby go wspierać, i nie przestawali unosić się w pobliżu, jak ryby w ciemnej wodzie, śledząc czynności jego z zadowoleniem.

Gdy przynoszono Dawidsonowi posiłek, wszystko jedno, czy późno, czy wcześnie i pod jakąkolwiek postacią, Mersereau już czekał ze swemi kreaturami. Niezliczone, jak muchy, łaziły one po potrawach, z widocznym zamiarem zepsucia ich, zanim chory będzie mógł je spożyć. Sam ich widok wystarczał, żeby mu zatruć posiłek. Słyszał zresztą, jak dręczyciele głosem zachęcały Mersereau:

— Tak, tak, zatruj mu żywność! Nie pożyje on już długo. Wnet będzie tak osłabiony, że będziesz mógł go zabić, ściskając za gardło.

Tak rozmawiały, a on dobrze to słyszał.

Słyszał również obelżywe zdania, z któremi zwracał się do niego Mersereau, słowa „morderca", „rzezimieszek", „szubrawiec", powtarzane aż do przesytu w ciemnościach nocy. Czasem, chociaż lampa paliła się jeszcze, rozróżniał aż siedem ciemnych kształtów, podobnych bardzo do Mersereau, a jednak różniących się od niego, zgrupowanych dookoła siebie, jak lekarze na konsyljum, lekarze złoczyńcy. Niektóre siadały mu na łóżku, może aby być bliżej i własnemi rękoma pomóc Mersereau w odebraniu mu życia.

A i poza nim była cała gromada tych istot złośliwych, pływających po powietrzu, śledzących go swemi oczami zielonemi lub czerwonemi, również pomagających Mersereau. W ostatnich czasach czuł, rzeczywiście czuł, że nacisk ręki dławiącej go jest silniejszy, gdy wszystkie te twory są obecne. Ale dokładnie w chwili, gdy miał już popaść w omdlenie, będąc zbyt słabym, by zerwać się jednym skokiem, wyrzucał z siebie krzyk, albo raczej rzężenie, i kładł palec na guziku dzwonka, którego głos miał sprowadzić miss Koehler. Ta przybiegała, podnosiła go i poprawiała mu poduszki. Zapewniała go, że to tylko zapalenie gardła i nacierała mu je alkoholem, a potem, aby mu ulżyć, kazała mu przełknąć kilka kropel lekarstwa.

W ciągu całego tego czasu mimo wszystko, co im mówił, lekarze upierali się przytem, albo udawali, że wierzą, że cierpi on na gruźlicę, i że wszystko inne było tylko urojeniem, objawem obłędu.

A ten szkielet Mersereau, ukryty jeszcze tam, na Monte Orte!

Życzeniem Merereau było oczywiście, zadusić przy pomocy swych towarzyszy. Co do tego nie mogło już być żadnych wątpliwości. A jednak nawet po jego śmierci powiedzą oni napewno, że umarł na gruźlicę gardła. Co za niedorzeczność!

XIII.

W nocy, 10 lutego 1909.

Widmo Mersereau, (nachylone nad Dawidsonem): „Cicho, cicho, śpi z zaciśniętemi pięściami. Nie myślał on, że go dostaniemy, że będę go miał w mojej mocy. Tym razem jednak uda nam się. Tak! — miss Koehler śpi na końcu kurytarza, a miss Liggett nie może przyjść, bo nie usłyszy. On jest teraz zupełnie osłabiony. Może zaledwie poruszać się i jęczeć. Weźcie się za ręce, wy, tam! Będę go trzymał tak mocno, że tym razem się nie wymknie. Krzyki jego na nic się dziś nie zdadzą. Nie może już wcale krzyczeć. Dalej, dalej"!

Chmara złych duchów, (unosząc się w pokoju): „Tak, tak! Doskonale, doskonale! Dalej, dalej!"

Dawidson (obudzony dusi się, charczy i słabo broni się rękami): „Na pomoc, na pomoc! na po... moc! miss... miss.... ratu...nku!"

Panna Ligett, (drzemiąc ociężale na krześle): Wszędzie cisza. Nikt nie woła. Mogę spać". (Zasypia, głowa opada jej na piersi).

Chmara złych duchów. „Doskonale, doskonale! Dajcie jego duszę! Idzie już, oto jest! Nie

wymknął się tym razem! Ah, doskonale! Nareszcie!"

Mersereau (do Dawidsona): „Morderco! Nareszcie, nareszcie!"

XIV.

Tej samej nocy, o g. 3-ej.

Miss Koehler, (stojąc przy łóżku, smutna i blada): Musiał skończyć między pierwszą a drugą, doktorze. Odeszłam od niego o godzinie pierwszej, po podaniu mu wszystkiego, czego potrzebował. Mówił, że czuje się tak dobrze, jak to w jego stanie jest możliwe. Był w ostatnich dniach bardzo osłabiony, gdyż żywił się tylko odrobiną kaszki. Między pół do drugiej a drugą zdawało mi się, że słyszę szmer i przybiegłam. Leżał tak, jak go pan teraz widzi, ale ręce miał na gardle, jakgdyby go bolało, albo jakby się dusił. Wyprostowałam je, aby potem nie było zapóźno, gdy zwłoki zesztywnieją. Chcę wezwać drugą pielęgniarkę, zauważyłam przed chwilą, że dzwonek jest zepsuty, chociaż jestem pewna, że funkcjonował dobrze, gdy odchodziłam, gdyż zawsze kazał mi próbować. Bardzo być może zatem, że usiłował dzwonić.

Doktór Major (odwracając głowę zmarłego i badając gardło): Musiał sobie ścisnąć gardło dość mocno, tym razem. Z tej strony widać odcisk kciuka, a po drugiej znaki po czterech innych palcach. Znaki są dosyć głębokie, jak na jego siły. Bardzo to ciekawy objaw: wyobrażał sobie, że ktoś usiłuje go udusić, a tymczasem on sam ściskał sobie gardło. Gruźlica gardła jest chorobą, która może być bardzo bolesna. To tłómaczyłoby okoliczność, że odczuwał potrzebę ściskania sobie gardła.

Miss Koehler. Zawsze twierdził, że jakiś zły duch usiłuje go udusić.

Doktór Major. — Tak, tak, wiem. To asocjacja idei. Doktór Scain zgadza się ze mną na tym punkcie. Mamy tu do czynienia z typowym wypadkiem chronicznej gruźlicy gardła, pomijając niedożywianie, spowodowane wpływem choroby gardła na stan żołądka. Manja, której podlegał, że złe duchy go prześladują i usiłują go udusić, miała swe źródło w dążeniu podświadomem do logicznego powiązania objawów. Gdyby był miał chorą nogę, wyobrażałby sobie, że złe duchy chcą mu ją odpiłować, albo coś podobnego. Tak samo stan jego gardła oddziaływał na żołądek, i chory wyobrażał sobie, że duchy zmieniają jego jadło. Niech pani przygotuje świadectwo, stwierdzające jako powód śmierci gruźlicę przełyku, a co do jego stanu umysłowego, objawy manji prześladowczej. Skoro już tu jestem, mogę odrazu pójść do p. Baffa.

KONIEC.

Sammosierra-Rokitno..

Wrzesień 15-go roku... Przerzucony ze swoim oddziałem z północnego frontu, stanąłem nad Dniestrem, tuż obok Okny, gdzie w niespełna rok później, po ciężkich zapasach zimowych i brawurowym ataku na wiosnę, olbrzymia armja rosyjska przerwała front nieprzyjaciela.

Dokoła mnie — oprócz zwykłej, szaraczkowej piechoty, stały przedziwne wojska: dagestańcy, płastuni, turkmeni, ingusze.., piękni, o wschodnich tradycjach rycerze, nieustraszeni w walkach, budzący podziw u wroga.



Prezydent Rzeczypospolitej na Mszy Polowej 2-go pułku Szwoleżerów. (Fot. Pikiel)

I oto od tych ludzi, pierwszych, usłyszałem pochwały o wojsku polskiem, opowiadania o słynnej szarży pod Rokitnem, o której legenda na długo miała pozostać żywą na tym odcinku frontu.

Cóż znaczyła wobec tych mas ofiara sześćdziesięciu kilku ułanów? Cóż znaczyła brawurowa szarża jazdy na najeżone karabinami i gniazdami kulomiotów okopy? Czterech ich doszło do ostatniej linji... i cóż?

I w tem właśnie ich siła, owych rokitniańczyków, że garstką porwali się, krwią przypieczętowali swój gest iście bohaterski, nie tyle dla zdobycia tego lub innego okopu — ale z myślą o Niej jednej, o Niepodległej.

A nam — dziesiątkom i setkom tysięcy, rozsianym w morzu obcych plemion nawet się nie śniło, żeby tym gestem właśnie, szaleńczym i prawie beznadziejnym, budować można było Polskę...

* * *

W szeregach rokitniańczyków — jeden, jedyny tylko pozostał oficer z owych czasów. Inni — legli na polu chwały, inni rozproszeni po całym kraju, tradycja wszakże o pułku pozostaje nieśmiertelna, a garstka bohaterów, którzy ją stworzyli przeszła do historji.

Póki szabli w polskiej ręce
Póki polski duch w piosence
Pamięć z wieku w wiek rozkwitnie
O ułanach i Rokitnie...

Er.



Grupa oficerów 2-go pułku Szwoleżerów z bohaterem rokitniańskim, płk. Jagrym - Maleszewskim na czele. (Fot. Pikiel)

Kupujemy pchły — płacimy najwyższe ceny!

(Ciąg dalszy ze str. 19).

grosza za sztukę. Na stosunki polskie jest to bezwzględnie dużo, w Ameryce jednak mało. Wynikła więc konieczność podniesienia ceny, do blisko 13 groszy za sztukę. Znaleźli się wtedy faktycznie handlarze, którzy podjęli się dostarczyć w ciągu 24 godzin 2000 sztuk owych owadów.

W wielu wypadkach uczeni muszą — nolens volens — sami oddać się na żer krwiożerczym owadom. Zadaniem instytutu naprzykład jest zbadać dokładnie działanie wszelkich przez fabryki zalecanych środków przeciw komarom i wszelkiego rodzaju robactwu.

Częściej oczywiście muszą cierpieć męki psy, koty i kury. Prawdziwym bohaterem w walce z pchłami jest piec Doc, który już od pięciu lat poddaje się systematycznemu „zapchleniu". Na nim też wypróbowano wszelkie środki zaradcze, przeważnie z wynikiem ujemnym. Często nawet biedny pies nie mógł sobie ulżyć drapaniem, lub gryzeniem, gdyż po posmarowaniu, względnie popudrowaniu zaleconym środkiem wsadzano go do specjalnego worka, z którego wystawała tylko głowa. Po skończonem doświadczeniu liczono ilość zabitych względnie, uciekających pcheł, celem przekonania się o skuteczności stosowanego środka.

Oby tyle „krwawych" ofiar dwu i czworonożnych męczenników amerykańskiego insektarjum przyniosło należyte sukcesy...

F. Burdecki.

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

TEATR

WIELKI

dn. 19 b. m Halka.
dn. 20 b. m. Wesele Figara.
dn. 21 b. m. Casanowa.
dn. 22 b. m. Halka.
dn. 23 b. m. nieczynny.

NARODOWY

Codziennie: Wiosna Narodów (w cichym zakątku).

LETNI

Codziennie: Proces Mary Dugan.

POLSKI

Codziennie: Artyści.

MAŁY

Codziennie: Koniec pani Chevney.

MORSKIE OKO

Codziennie: Rewja p. t. Zabawki dla Warszawki.

QUI - PRO - QUO

Codziennie: Rewja p.t. Gabinet figur wo(j)skowych.

RADIO - OGRÓD PHILIPSA

(Mazowiecka 9)

Codziennie oprócz poniedziałków koncert — dancing od godz. 5-ej — 22-ej.

KINO

Apollo: „Miłość Kozaka".
Capitol: „Przedziwne kłamstwa Niny Piotrówny".
Casino: „Miłość Kozaka".
Colosseum: „Przygoda jednej nocy".
Filharmonja: „Serce nie sługa".
Hollywood: „Rozwiedź my się".
Miejski: „Symfonja Północy".
Palace: „Przedziwne kłamstwa Niny Piotrówny".
Pan: „Przedziwne kłamstwa Niny Piotrówny".
Stylowy: „Moja Najdroższa".
Quo Vadis: „Serce nie sługa".
Splendid: „Nocny Ptaszek".
Światowid: „Zapomniane twarze".

KALENDARZYK TYGODNIOWY

22 N Tomasza
23 P Tekli
24 W N. M. P.
25 Ś Ładysława z Gieln.
26 C Cyprjana.
27 P Koźmy i Damjana.
28 S Wacława.

Czy wiecie że...

...ostatnie zestawienia statystyczne podają, że w Japonji żyje 30 tysięcy trędowatych. Przeważająca ilość tych chorych korzysta z opieki publicznej.

*

...niedawno została sprzedana z licytacji bibljoteka znakomitego krytyka angielskiego śp. Edmunde Gosse. O wielkości tej bibljoteki świadczy fakt uzyskania za nią sumy blisko półtora miljona złotych.

*

...we Francji wypada jeden samochód na 100 mieszkańców, w Anglji jeden na 70, zaś w Ameryce jeden na 7 mieszkańców kraju.

*

...ukonstytuowano niedawno w Rosji t. zw. „Kursy Bezbożników". Kursy te trwały trzy miesiące, a program ich ograniczał się wyłącznie do nauczania adeptów, w jaki sposób należy przystępować do tępienia religji.

*

...inż. Javarry, dyrektor Towarzystwa Budowy Tunelu pomiędzy Francją a Anglją obliczył, że budowa tunelu wyniesie 3 — 4 miljardy franków. Francja liczy się z podjęciem robót w bardzo szybkim czasie.

*

...przewóz jednego samochodu przez Ocean kosztuje przeciętnie 200 dolarów.

*

...inwalida Werner, który ma jedną nogę sztywną, przepłynął onegdaj przestrzeń z Frankfurtu nad Menem do Lebusu. Płynął on bez przerwy czternaście i pół godziny i pokrył trasę długości 84 kilometrów.

*

...parcele w miastach amerykańskich idą na wagę złota. Dlatego też widzimy na każdym kroku oszczędność miejsca. Między innemi zerwano obecnie ze zwyczajem budowy garażów parterowych i buduje się garaże wielopiętrowe, w kształcie wieży, zaopatrzonej w windę, która wyciąga w górę samochody. Na każdem piętrze znajdują się dwa samochody.

*

...w roku 1899 było we Francji zaledwie 1673 samochody, podczas gdy dzisiaj jest ich 800 tysięcy.

Obłudny pocałunek

Już dawno minęła północ. Pani Lala, zmęczona wyczekiwaniem na męża, cicho zasnęła na szerokim tapczanie. Światło blado-różowego abażuru rzuca niesamowite cienie na jedwab połyskujących tapet.

Pani Lala poruszyła się niespokojnie .Otwarta książka ześliznęła się z tapczana i spadła na dywan. Szelest kartek obudził ją, przetarła oczy i spojrzała na zegar. Pierwsza. A męża jeszcze niema. Mówił, że ma pilną konferencję z dyrektorem i wróci „dość późno". Ale chyba czas jest, by już był w domu.

Wtem, szelest u drzwi oznajmił powrót męża. Wchodzi do pokoju, czule wita się z panią Lalą, przeprasza, że ją zostawił samą. Konferencje, praca i praca!

Pani Lala ufa mężowi i podaje mu usta do pocałunku. Całując namiętnie swą żonę, mąż myśli: — Śliczna, bo śliczna była ta mała Danutka! A ta naiwna Lala, uwierzyła w jakąś tam konferencję. I z radości dusza fika koziołki, a lewe oko samo się układa do wesołego mrugnięcia.

Obłudnik.

* * *



Piękna Ralston przekonywuje męża o swojej wierności (Fot. Paramount)

— Helka, kochasz mnie?
— Albo ja wiem?
— Dlaczego nie chcesz ze mną chodzić?
— Albo ja wiem?
— Franek lepiej ci się podoba?
— Albo ja wiem?
— Wiesz, już mam pieniądze na bluzkę, która ci się tak podoba...

Helka czule rzuca się w ramiona kochanka i tkliwie tuli się do jego szerokiej piersi, powtarzając: — kochany, kochany Feluś! A na myśl o nowej bluzce wesoło mruga oczkiem.

Obłudnica.

* * *

Pan Cezary Rączka ma piękną żonę, słaby charakter i dwa rogi. Wie, że żona go zdradza, ale nie ma odwagi zrobić skandalu. Byłby wstyd i tyle. Znosi zatem wszystko w pokorze, nawet udawane czułości żony. Na przywitanie i pożegnanie całuje go zawsze w policzek. Pan Cezary radby wrzasnąć na całe gardło: — Kłamiesz, kłamiesz, panie dobrodzieju — ale nie ma odwagi i myśli tylko: — Mój Boże, jakaż ona obłudna.

(m. s)



Luiza Brooks w objęciach stuprocentowego amanta (Fot. Paramount).



Harry Halm sądzi, że Lilian Harvey jest naiwna. i że mu ufa. (Fot. Slinks).

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 173-22 i 117-98.